

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. | Kraków, 1 sierpnia 1908. | Nr. 31.

Stracenie morderczyni.

(Treść na str. 2).



Zdjęcia z nad wezbranej Wisły i z wylewu Rudawy.

Stracenie morderczyni.

(Do illustracyi tytułowej).

W „postępowym“ dwudziestym wieku przyzwyczailiśmy się już poniekąd do rozmaitych wstrętnych zbrodni, które lekarze tłómaczą zboczeniem umysłowem, wykluczającem karygodność popełnionego czynu, ale jeśli zbrodniarz nie ujdzie karzącej ręki sprawiedliwości, odczuwamy pewne zadowolenie, że przecież stało się zadość słuszności. Gdy zbrodniarzem jest mężczyzna, godzimy się jakoś z danem zdarzeniem; zawsze naturę męską wyobrażamy sobie jakąś surowszą, co poniekąd tłomaczy czyn popełniony; jeśli jednak ohydnej zbrodni dopuści się kobieta, oburzenie nasze nie ma granic, zdarzenie przejmuje nas wstrętem.

Podobnie rzecz się ma z procesem Grety Beier, córki burmistrza we Freiburgu w Saksonii. Przed kilku tygodniami doniosły pisma codzienne, że Greta w skrytobójczy sposób zamordowała swego narzeczonego, inżyniera Presslera i że skazaną została przez sąd przysięgłych na śmierć.

Sprawa ta pociągnęła za sobą cały szereg innych procesów, gdyż matka oskarżonej, chcąc ratować córkę, dopuściła się zbrodni namawiania do krzywoprzysięstwa, za co skazano ją na dwa lata więzienia. Kochanek Grety, kupiec Merker, za ukrywanie skradzionych przez nią przedmiotów ukarany został czteromiesięcznem więzieniem, a osoby, u których schodził się ze swoją kochanką, pokutowały w areszcie z powodu stręczycielstwa. Wreszcie sama Greta otrzymała pięć lat więzienia za kradzieże, fałszerstwo dokumentów i namawianie do mordu.

To jednak dopiero „wstęp“ w zbrodniczej karyerze pięknej Grety.

W czerwcu stanęła ona przed sądem jako obwiniona o zamordowanie swego bogatego narzeczonego, inżyniera Presslera w Chemnitz, do którego z Freibergu przybyła w odwiedziny. Beierówna kazała mu zawiązać sobie oczy, mówiąc, że tymczasem wydostanie dla niego upominek z torebki. Pressler uczynił, jak mu kazała, a wtedy Beierówna strzałem w głowę położyła go trupem. Morderczyni upozorowała następnie samobójstwo, a do biurka zamordowanego włożyła podrobiony testament, mocą którego Pressler czynił ją swoją uniwersalną spadkobierczynią.

Ale wkrótce prawda wyszła na jaw i morderczyni stanęła przed sądem. Lekarze sądowi orzekli, że Greta okazuje zboczenie na tle seksualnem, że jednak jest poczytalną, w ślad za czem trybunał skazał ją na śmierć.

Sąd i przysięgli zwrócili się do króla saskiego z prośbą o ułaskawienie skazanej, przypominając, że podczas rozprawy przyrzeczono oskarżonej lżejszą karę, o ile przyzna się do zbrodni, co też uczyniła, król jednak odrzucił podanie o ułaskawienie.

Do ostatniej chwili Greta i cała publiczność Freibergu oczekiwali nadejścia dekretu ułaskawienia, jednak napróżno.

Beierównę ścięto 23 lipca rano zapomocą gilotyny. Skazana modliła się całą noc a w ostatniej chwili okazywała wielką skruchę i oczekiwała królewskiej łaski. Po wstąpieniu na szafot ostatniemi słowami jej były: „W ręce Twoje, o Panie, oddaję ducha mego“.

Tłumy ludności otaczały więzienie, oczekując na egzekucyę, z której rząd saski zrobił smutne widowisko, rozdając 200 biletów wstępu dla publiczności, gdy w Niemczech na ogół, oprócz osób urzędowych, dopuszcza się do asystencyi przy egzekucyi tylko dwanaście osób postronnych; a niestety ciekawych nie brakło.

Illustracya nasza przedstawia scenę stracenia Grety Beier na dziedzińcu więziennym w Freiburgu.



Po zjeździe słowiańskim: Grupa polskich uczestników zjazdu w Pradze z red. Chylińskim (X) z Krakowa na czele. Między obecnymi: 1. Zygmunt Balicki z Warszawy; 2. red. dr. Grabski ze Lwowa; 3. Prezes Dmowski z Petersburga; 4. dr. Doboszyński z Krakowa; 5. red. Hłasko z Wilna.

Po zjeździe słowiańskim.

Przeżyliśmy wielką, osobliwą chwilę. W „Złotej Pradze“, stolicy królestwa czeskiego, toczyły się przez tydzień cały obrady delegatów wszystkich słowiańskich narodów, celem obmyślenia dróg i środków, przy pomocy których możnaby zjednoczyć całą Słowiańszczyznę w pracy kulturalnej. Zadanie jest tem pilniejsze, że żywioł germański, przejęty hasłem „*Drang nach Osten*“, butny, zuchwały, zaborczy bezwzględnie, wdziera się coraz



Fot. M. Münz, Lwów.

Po zjeździe słowiańskim: Goście rosyjscy pod cerkwią św. Jura we Lwowie. 1. Poseł dr. Dudykiewicz; 2. Poseł do Dumy Giżyckij; 3. Generał Wołodymirow; 4. Hr. Bobrińskij; 5. Gen. Dementjew; 6. Poseł ks. Dawydiak.

głębiej w dziedziny słowiańskie i wypiera stamtąd tubylcze ludy. A w tych dążeniach znajduje pośrednią pomoc wśród samych Słowian, którzy nie bacząc na grożące, a wspólne niebezpieczeństwo, wiodą nieustannie między sobą spory i walki, osłabiając wzajemnie siły.

Czas więc najwyższy i ostateczny otrząść się z uśpienia i pomyśleć o odporze. Drogą ku temu jasno wskazaną jest porozumienie między słowiańskimi narodami, zapomnienie o waśniach i sporach, a wreszcie wspólna i wielka praca nad podniesieniem kultury wśród wszystkich słowiańskich ludów, dopomożenie im do śmiałego, spokojnego rozwoju.



Konstytucya w Turcyi: Były minister wojny marszałek Riza pasza.

Zaraz u wstępu jednak pracy nasunęła się tu trudność nie mała. Stosunki polsko-rosyjskie. Chodziło o ich załagodzenie. I gdyby ta największa ale jedyna niemal trudność usuniętą została, sprawa zjednoczenia Słowiańszczyzny byłaby kwestyą niedługiego już czasu. Delegaci obu stron, zarówno rosyjscy jak i polscy, uczynili wszystko, aby szlachetną sprawę doprowadzić do pomyślnego załatwienia. Przedstawiciele rosyjskich stronnictw przyznawali zgodnie, że Polacy doznali w ciągu wieku niejednej, bardzo ciężkiej krzywdy i że należy im się obecnie słusznie zupełne równouprawnienie. Oświadczenia rosyjskich delegatów nie są oczywista rzecz urzędowemi zobowiązaniami, nie mniej jednak szczerość ich wywarła wśród polskich delegatów wrażenie bardzo dodatnie.



Konstytucya w Turcyi: Nowy wielki wezyr Said Kuczuk pasza, twórca konstytucyi.

Był to najdonioślejszy moment zjazdu praskiego. Drugi bardzo doniosły, to uchwała co do wystawy słowiańskiej w Moskwie. Ma się ona odbyć w ciągu kilku najbliższych lat, najdalej do 1915 roku. Zaświadczy ta wystawa najlepiej o postępach kultury wśród wszystkich ludów słowiańskich.

Z innych spraw załatwiono w zasadzie założenie Banku słowiańskiego i biura prasy, popieranie turystyki i sokolstwa, a celem przeprowadzenia uchwał powołano do życia komitet wykonawczy, w skład którego wchodzą delegaci całej Słowiańszczyzny.

Plon więc zjazdu i obrad jest bardzo duży, może też wywrzeć ogromny wpływ na ukształtowanie się stosunków międzynarodowych w całej Europie.

Po zjeździe praskim delegaci rosyjscy udali się do Galicyi, spędzili kilka godzin w Krakowie, a następnie we Lwowie. Tam podejmowano ich bardzo gościnnie. Kulminacyjnym punktem było zebranie towarzyskie w hotelu George'a, w czasie którego wygłoszono szereg podniosłych a politycznie doniosłych przemówień. Na zebraniu tem byli jako goście: hr. Bobrinskij, Giżyckij, generał Wołodimirow i generał Dementjew, z Polaków zaś przybyli najwybitniejsi ludzie w społeczeństwie, między innymi wiceprezydent miasta dr. Rutowski, profesor dr. Balzer, dr. Jan Stella-Sawicki, ksiądz arcybiskup Teodorowicz, radca dworu dr. Rydygier, wielu posłów, radnych miasta, redaktorów i t. d.



Konstytucya w Turcyi: Były wielki wezyr Ferid pasza.

Goście rosyjscy zwiedzili Lwów i jego osobli-



Pod znakiem powodzi: Pogotowie ratunkowe pionierów na łodziach i pontonach przy placu Groble pod zamkiem w Krakowie. (Aparatem red. W. Lis.)



Pod znakiem powodzi: Górna część ul. Wolskiej, zalana wodą Rudawy.

wości, poczem serdecznie żegnani pojechali na Bukowinę. Jedynym dysonansem była demonstracya, urządzona naturalnie przez... Ukraińców. Obrzucili oni wychodzących od red. Markowa, Starorusina, gości rosyjskich zgniłemi jajami. Po kazali znowu swoją kulturę.

Konstytucya w Turcyi.

„Chory człowiek" z nad Bosforu potrafił w bieżącym tygodniu zająć całą Europę, której oczy i tak zwrócone były z ciekawością ku Konstantynopolowi, skąd po drutach telegraficznych napływały najsprzeczniejsze wieści.

Powstanie Młodoturków rozwinęło się zatrważająco na całem terytoryum padyszacha i już przypuszczano, że Europa poda „pomocną" dłoń władcy z Ildiz-Kiosku. Przebąkiwano nawet, że Austrya uproszoną jest przez sułtana, by w razie wybuchu groźniejszych zamieszek wkroczyła ze swą armią do Turcyi a nasi „knajpkowi" politycy już desygnowali nawet głównodowodzącego korpusem.



Pod znakiem powodzi: Pionierzy w swym namiocie na brzegu Wisły obok Podgórza.

Tymczasem sułtan, któremu opieka Europy już nieraz dała się we znaki, poradził sobie sam, ogłosiwszy przywrócenie konstytucyi, nadanej Turcyi w czasie rozpoczęcia rządów 28 grudnia 1876 roku.

A była już krytyczna chwila, gdyż bunt zaczął się szerzyć głównie między wojskiem europejskiem, a nawet zachodziła obawa, że przeniesie się i na korpusy azyatyckie. Gdy usunięcie nielubianego ministra wojny Riza paszy, nie pomogło, postanowił sułtan poświęcić wielkiego wezyra, Ferida paszę, a gdy i to skutku nie odniosło i należało się spodziewać najgorszych rzeczy, za wskazówką nowego wielkiego wezyra, Said Kuczuk paszy, zdecydował się wreszcie na przywrócenie konstytucyi, którą uchwalono na sześciogodzinnem burzliwem posiedzeniu rady ministrów z 23 na 24 bm. A zaraz rano 24 b. m. podpisał sułtan przedłożone mu irade konstytucyjne.

I rzeczywiście było to jedyne lekarstwo na niemoc turecką. W jednej chwili sytuacya się zmieniła, a najwięksi przeciwnicy sułtana stali się jego zwolennikami. Dość powiedzieć, że komitet młodoturecki urzędujący stale w Paryżu, nadesłał do Ildiz-Kiosku telegram hołdowniczy, dziękując za nadanie konstytucyi i ogólnej amnestyi.

Przed pałacem sułtańskim ponawiają się codziennie wiernopoddańcze manifestacye, którym sułtan przypatruje się z okna pałacowego.

Oby tylko zapał ten nie był słomiany, gdyż i w r. 1876 konstytucyę witano entuzyastycznie, nie przypuszczając, że jak nagle powstała, tak też i rychło zniknie z horyzontu.

Jeden cesarz Wilhelm nie kontent z takiego obrotu rzeczy, gdyż niepokoje w Turcyi, to była woda na młyn polityki gabinetu berlińskiego, czego dowodem było nadanie byłemu wielkiemu wezyrowi najwyższego pruskiego orderu Czarnego orła. Obecny wielki wezyr, Said pasza, jest zdeklarowanym zwolennikiem polityki angielsko-rosyjskiej.

Polityka ta będzie niewątpliwie dla skołatanej Turcyi „zdrowszą" i korzystniejszą. Ze względu na przeparcie przywrócenia konstytucyi, a zwłaszcza poparcie wpływów angielsko-rosyjskich, zasłużył sobie wezyr Said pasza na wdzięczność i uznanie całego tureckiego społeczeństwa.

Jest to osobistość bardzo wybitna i w całem państwie popularna. Z powodu niskiego wzrostu nazywają go w Turcyi „Kuczuk" tj. mały. Liczy lat 73, a obecnie poraz szósty staje jako wielki wezyr na czele rządu. Powoływano go zawsze wtedy, gdy państwu groziło niebezpieczeństwo.

Charakterystyczną cechą jego usposobienia jest otwartość i bezwzględność, co mu jednało sporo wrogów. Nie znał pochlebstwa ni intryg, a w postępowaniu swem był zawsze energicznym i śmiałym.

Jednym z pierwszych kroków nowego wielkiego wezyra powinno być usunięcie dworskiej kamaryli od wpływów na sułtana i jego wolę. Dotąd był on zawsze jej wrogiem, ona też najzacięciej go zwalczała.

Czy Said pasza teraz, na starość, będzie zdecydowanym zwolennikiem konstytucyi, nie wiadomo, tak samo jak niewiadomo, czy potrafi być stanowczym w swych dążeniach.

Wielkich wezyrów nazywają w Turcyi „cieniem cienia boskiego na ziemi". Może i Said pasza okaże się tym razem tylko cieniem jednodniowym.

* * *

Illustracye nasze przedstawiają byłego ministra wojny Rizę paszę, byłego wielkiego wezyra Ferid paszę i właściwego twórcę konstytucyi, obecnego wezyra Said paszę.



Pod znakiem powodzi: Jeden z domów w ul. Retoryka, zalany wodami Rudawy.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

7 (Ciąg dalszy).

— Podzielam twoje zdanie moja droga, lecz gdzież ją zawiozę? Wynajmuję w Warszawie zaledwie parę skromnych pokoików, żeby się w nich przespać, gdy potrzebuję przenocować czasem w mieście...

— Zawieziesz ją do mojej willi, którą, jak wiesz, posiadam w Deauville. Nie powiem, żeby mi to sprawiło wielką przyjemność, bo tam, gdzie mieszkam, zgiełku i wrzawy nie lubię, ale tym razem... i ja się poświęcę. Zaproszę ma się rozumieć Korfa... Nad morzem zapadnie ostateczna decyzya co do ich małżeństwa... Przyjedziesz i ty, a choćby nawet i Karol, jeżeli będzie koniecznie potrzebny... Po powrocie do kraju ślub odbędzie się u Wizytek, na Krakowskiem-Przedmieściu... z właściwym szykiem. No, czy zgoda?

Hrabia z wdzięcznością ucałował pulchną łapkę Dulskiej.

— Nie przyzwyczaiłaś mnie szwagierko do tak pięknych dowodów rodzinnej życzliwości.

— Muszę przecie pamiętać, że Zosia jest moją siostrzenicą. A przytem powiem ci szczerze, uroiłam sobie, że kocha się w jakimś gołym paniczyku, pragnę więc przeszkodzić takiemu samemu głupstwu, jakie popełniła jej matka, wychodząc zamąż za człowieka, noszącego wprawdzie jedno z najświetniejszych nazwisk w kraju, ale zarazem zrujnowanego urwisza i nicponia, jakim byłeś i jesteś jeszcze kochany szwagrze.

— Dziękuję za komplement!

— Niema za co!... Chyba za prawdę się nie gniewasz?... Ale, ale, czas wracać mi do Warszawy.

— Czy mam Zosię zawołać, żeby się z tobą pożegnała?

— Na co?... Jestem pewna, że płacze, a w tego rodzaju miłem zajęciu nie trzeba nigdy dziewczętom przeszkadzać!

* * *

Zofia jednak nie płakała. Pewna, że nie może liczyć na nikogo i od nikogo spodziewać się pociechy, całą duszą utonęła w morzu marzeń o szczęściu minionem.

Wkrótce po odjeździe ciotki posłyszała kroki ojca idącego na piętro po schodach. Zatrzymał się parę minut przy jej drzwiach, lecz nie zapukał do nich. Pragnął wprawdzie choćby krótką pieszczotą podziękować córce za poddanie się jego woli,—osądził jednakże po niedługo trwającym namyśle, że lepiej czułościom dać dziś pokój, bo samotność musi być Zosi milszą od pieszczoty, jątrzącej serce bolesnem wspomnieniem. Więc zawrócił do swego pokoju i zamknął się w nim na klucz.

Zofia nie wiedząc dlaczego i poco zeszła pod wieczór do salonu. Bezwiednie również usiadła przy stoliku, na którym leżały książki i dzienniki. Prawie nieprzytomnie rozłożyła jeden z nich i przeglądała artykuł po artykule, nie czytając żadnego. Raptem uderzył jej oczy krótki ustęp w kronice, zaczynający się od wyrazów, wydrukowanych większemi literami. Brzmiał jak następuje:

„Hrabia Mieczysław Wielohradzki z synem swoim Karolem, wracając późno w nocy z miasta do majątku swego Sielanka, znanego dobrze Warszawianom z wycieczek majowych, spostrzegli w ogrodzie złodzieja, kradnącego kwiaty. Starali się go pochwycić, lecz złoczyńca rzucił się na nich, grożąc im laską z gałką ołowianą. Wywiązała się walka, w ciągu której rzezimieszek, widocznie osłabiony głodem i długą włóczęgą po wsiach okolicznych, spadł z wysokiego tarasu do Wisły. Pomimo pilnych poszukiwań ciała jego nie znaleziono dotąd“.

Nic więcej!

Nie oszukał jej ojciec mówiąc, że zabezpieczył honor rodzinny od wszelkiej skazy... Ale i ona również, nie wymieniając nazwiska ukochanego, uchroni je od plamy, jaką zwykle wytwarza rozgłos skandaliczny, wywołany przez sensacyjne sprawozdania gazet. Chociaż jej luby nie żyje, ona całą duszą do niego należy... Ocali ojca, lecz jego i siebie nie shańbi... W głowie rodzi się zamiar... jeszcze niejasny... teraz coraz jaśniejszy, coraz jaśniejszy!... Obowiązek dziecięcej miłości nakazuje zawrzeć to wstrętne małżeństwo... uczyni więc zadość woli rodzica... lecz nawet jako żona innego, pozostanie Zygmuntowi wierną...

Szepcząc drogie jej imię, spojrzała znowu mimowoli na rozłożony przed nią arkusz dziennika. Po wstępie już przeczytanym dostrzegła nieco niżej:

„Donoszą nam z przedmieścia Pragi: Mamy do zanotowania nową zbrodnię, popełnioną przez naszych nieustraszonych nożowców. P. Zygmunt *** (nazwisko dotąd nieznane), urzędnik jednego z warszawskich domów bankowych, mieszkający stale wraz z swoją babką i starym służącym, na Pradze, popłynął nocy wczorajszej na własnej łodzi w stronę Saskiej Kępy, bo chociaż nie należy do stowarzyszenia naszych dzielnych wioślarzy, był wielkim wielbicielem rzecznego sportu. Służący jego, niegdyś żołnierz, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością swego pana, popłynął naprzeciw niemu w drugiej łódce. Znalazł go, lecz niestety nieprzytomnego i zbroczonego krwią. Leżał w łodzi, pędzonej silnym prądem ku naszemu przedmieściu. Gdy obie łodzie, złączone teraz z sobą ręką i staraniem wiernego sługi, przybiły do brzegu, rybacy pomogli mu przenieść umierającego do mieszkania“.

— Umierającego?!... Więc może nie umarł! — zawołała Zofia zrywając się z miejsca.

Pobiegła szybko do domku ogrodnika, u którego posłaniec — codziennie przybywający z Warszawy — składał listy z poczty i gazety.

— Proszę o dzisiejsze dzienniki — rzekła drżącym od wzruszenia głosem.

Porwała podane i czemprędzej wróciła do salonu. Nie śmiała jednak zedrzeć z nich opasek i zajrzeć do środka. W dręczącem wyczekiwaniu na pobudzającą do czynu energię upłynęło kilka minut. Nareszcie rozerwała jedną... drugą opaskę... i pochwyciła „Kuryera“, w którego łamach mieściły się obie poprzednie wiadomości. Czytała:

„W dalszym ciągu nożowniczej sprawki o której pisaliśmy w naszym dodatku porannym, otrzymujemy z przedmieścia Pragi następującą zwięzłą relacyę. Sąd zeszedł do mieszkania p. Zygmunta (jestto podobno jego imię i zarazem nazwisko) w chwili właśnie, gdy już rozpoczynała się agonia. Konający zatem nie mógł udzielić jakichkolwiekbądź informacyi, któreby umożliwiły poszukiwanie i odkrycie morderców“.

Wszystko skończone. Zygmunt nie żyje! Umarł nieznany, on, którego nazwisko należało do najświetniejszych pomiędzy najświetniejszemi. A ona, ona gotowa dzielić z nim życie i zgon, nie może umrzeć, musi pozostać na ziemi, żeby poświęcić się dla rodziny i spełnić wstrętny... ohydny obowiązek.

* * *

O dziewiątej zszedł Wielohradzki do jadalni na herbatę i wieczerzę podaną pod kierownictwem Pogonowskiej. On i Zofia spędzili cały wieczór w zupełnem prawie milczeniu, nie mówiąc z sobą ani o przeszłości, ani o przyszłości. Tylko, gdy około północy hrabia odprowadzał córkę do sypialni, ucałował jej czoło i usta długo, przeciągle, jak nigdy dawniej serdecznie. Coś uczciwszego w tem starem, do gruntu zepsutem sercu błysło nagle jak płomień zapałki i jak płomień zapałki nagle zgasło.

Zofia, powalona na swe panieńskie łóżeczko całodziennem znużeniem moralnem i fizycznem, spała do rana jak zabita. Zbudziwszy się o świcie, ubrała się pospiesznie i pobiegła do ogrodnika po dzienniki. Drżącemi febrycznie rękami rozrywała opaski i przeglądała wszystkie bez wyjątku gazety, jakie Wielohradzki prenumerował, a prenumerował ich sporo, bo chciał uchodzić za protektora piśmiennictwa. Wmawiała w siebie, że nie powinna rozpaczać, bo Zygmunt... jej Zygmunt ukochany... tak zawsze zdrów i pełen sił młodzieńczych, mógł oprzeć się śmierci... więc ten, lub ów dziennik prawdopodobnie doniesie o polepszeniu jego stanu zdrowia... Napróżno szukała upragnionej nowiny naprzód w wiadomościach bieżących.. potem w korespondencyach z przedmieści... następnie w przygodnych artykulikach i telegramach. Nigdzie nic... nic!

Sprawozdawcy rozpisywali się o nowych zbrodniach, omawiali wypadki, w których zginęły nowe ofiary... o nim zaś nic! ani słowa. Zofia jak stała, runęła zemdlona na ziemię. Służba odniosła ją do jej pokoju, kędy gorzkiemi zalewając się łzami dzień cały spędziła osamotniona, hrabia bowiem, chociaż zawiadomiony o „zemdleniu panienki“, pojechał około ósmej do Warszawy, aby widzieć się z Korfem i Dulską.

Wrócił dopiero nazajutrz, lecz jakiś weselszy i spokojniejszy. Całując znowu Zofię bardzo serdecznie, rzekł do niej:

— Widzę, że pobyt w tym domu jest dla ciebie bolesny, więc dziś jeszcze pojedziemy nad morze.

Nie potrzebował tłomaczyć, na co i dlaczego, bo Zofia popadła w rodzaj bezwzględnej prostracyi ducha. Doprowadzona do stanu bezmyślności i dziwnego jakiegoś znieczulenia, nie widziała i nie słyszała nic, co się wokoło niej dzieje. Spełniała tylko posłusznie, bez najlżejszego oporu wszystkie życzenia i rozkazy ojca, który z wielką ostrożnością wiózł ją zagranicę. Po dłuższej nieco podróży (Wielohradzki bowiem ze względu na zdrowie córki, zatrzymał się po kilka dni w Berlinie i Paryżu) dojechali do Deauville, gdzie już na nich czekała ciotka.

Tu w ożywczem powietrzu morskiem odzyskała wkrótce przytomność i władze umysłowe, nie pamiętała jednak kiedy i w jaki sposób wieś opuściła, oraz jak się do Deauville dostała... Była jednak względnie zadowoloną, bo nie mówiono z nią o przeszłości i pozostawiano jej zupełną swobodę ruchów. Tu też dnie całe spędzała nad morzem, zapatrzona w bieg fal, napływających zdala i konających na piasku wybrzeża.

Po tygodniu zjawił się Karol, przybywający wprost z Warszawy i zapowiedział przyjazd barona Korfa na dzień następny. Hrabia pomimo to, rozmawiając dość długo z córką przy śniadaniu i obiedzie, nie wymienił nawet nazwiska człowieka, który miał zostać jej mężem. Tylko wieczorem czulej niż zwykle ucałował ją na dobranoc, jakby pieszczotą rodzicielską chciał wyrazić: „Teraz liczę na ciebie“.

Spędziła noc okropną na bolesnej walce wewnętrznej. Wstała jednak pewna siebie i przygotowana na wszystko. Przez okno spostrzegła brata i barona, przechadzających się w ogródku, przylegającym do willi. Przywdziała czarną suknię i wyszła poważna, surowa, lecz spokojna zupełnie. Korf ujrzawszy ją, zbladł. Chciał wykrztusić oddawna przygotowane powitanie, lecz kunsztownie ułożony frazes ugrzązł mu w gardle. Pomimo zwykłej władzy, jaką miał nad sobą, stał jąkając się, jakiś wzruszony i niespokojny. Ona ukłoniła mu się grzecznie i rzekła:

— Idę przejść się nad morzem. Czy chce pan pójść ze mną?

— I ja wam towarzyszyć będę — zawołał Karol zdziwiony i przerażony śmiałością siostry swej.

— Nie — odparła — pozostań tu, proszę. Pragnę w cztery oczy pomówić z panem baronem Korfem.

Karol jak wryty pozostał na miejscu, baron zaś szedł za Zofią, nie rozumiejąc wcale, dlaczego tak niespodzianie wezwany został na tajemniczą przechadzkę przez dziewczę, niedawno jeszcze aż nazbyt skromne i nieśmiałe.

— Nie wiem — rzekł — jak pani wyrazić moją radość...

— Ostrożnie! Nie ciesz się pan przedwcześnie — odpowiedziała z delikatnym odcieniem pogardy w głosie — wątpię bowiem, czy zdołam zadowolnić go tem, co mu ofiarować mogę.

Korf przerażonym wzrokiem spojrzał na Zofię. Dziwny jakiś ciężar padł mu nagle na piersi. Przez chwilę nie mógł się ruszyć z miejsca. Ona zaś zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Szła nad morzem, oddalając się coraz bardziej od drogi, odpływ bowiem odkrywał nieustannie coraz szerszą przestrzeń żółtego, zbitego piasku, ruchem fal porysowanego w kręte prążki. Ciepły wiatr morski obejmował i pieścił jej postać, rozwiewając kiedy niekiedy wyzierające z pod słomianego kapelusza pukle złotawych włosów. Była cudnie piękna i pełną wdzięku.

— I to prześliczne stworzenie nie miałoby należeć do mnie?!

Gniewem wzdęła się pierś jego, lecz przemógłszy pierwsze wrażenie, pobiegł za Zofią, dogonił ją i słodkim przemówił głosem:

— Czy miałem nieszczęście nie podobać się pani?

— Pan mi się ani podoba, ani niepodoba — — odparło dziewcze obojętnie.

Poczem spojrzała mu prosto w oczy.

— Ponieważ niema między nami miłości, więc sądzę, że powinniśmy wyspowiadać się przed sobą szczerze i otwarcie. Wydają mnie za pana, ja zaś zgadzam się na to, nie chcę jednak, aby między nami istniało jakiekolwiek nieporozumienie...

— Z mojej strony panno Zofio niema żadnego — oświadczył baron gorąco. — Jako od lat dwóch przyjaciel jej ojca chciałem połączenia z jego rodziną... Pani piękność, czar jaki roztaczasz i wyższa inteligencya, którą w oczach twoich wyczytałem, szybko moje pragnienie przemieniły w gwałtowną miłość...

— Zbyt prędko może — przerwała Zofia ironicznie. Miłość nie rodzi się na zawołanie. Pan mnie nie kocha... pan mnie kochać nie może!

Mówiła z taką pewnością i wiarą w swoje słowa, że Korf na razie nie umiał jej odpowiedzieć... Irytowała go duma i niezwykła energia tej samej panienki, którą niedawno jeszcze uważał za potulną owieczkę, nieśmiałą i bojaźliwą. Co mogło Zofię w tak krótkim czasie, tak radykalnie przeobrazić?!

Ona z równą stanowczością ciągnęła dalej:

— Nie, nie! pan mnie nie kocha. Lecz osoba moja przydać mu się może do odpowiedniej reprezentacyi jego domu, do przyjmowania w nim dostojnych gości. Ludzie mówią, żem ładna, a żona finansisty podobno musi być koniecznie ładną. Wszakże zgodzisz się sam niezawodnie, że przy tem wszystkiem miłość niema nic do czynienia?... Miłość jest niewolnicą przymiotów serca i umysłu, bardzo małe zatem znaczenie przywiązuje do rzeczy tak znikomej i przemijającej jak piękność... Ale, wydaję się panu przystojną, więc chcesz ożenić się ze mną!

— Nie możesz mi pani brać za złe, że wielbię twoją piękność!

— Gdybym jednak była nawet piękniejszą niż jestem, lecz skromną mieszczaneczką, bez przodków i nazwiska, prawdopodobnie nie przyszłoby ci na myśl mnie poślubić... Szukasz stosunków w tak zwanym wielkim świecie, których pomimo swoich bogactw nie podzielasz dotąd, a które ułatwić ci może żona, należąca do tego świata... Och nie zaprzeczaj pan! Na co?... W ciągu dni ostatnich zastanawiałam się długo i głęboko nad wielu sprawami ludzkiemi, na które dawniej nie zwracałam uwagi. Do nich należało także zbadanie przyczyny, skłaniającej nieznanego mi człowieka do starania się o moją rękę. To zaś, co mi ojciec powiedział, stwierdziło tylko mniemanie, jakie sama sobie wyrobiłam w tym przedmiocie. Wszakże pan nie zawsze byłeś bogatym i baronem?

— Ojciec twój panno Zofio — wyjąkał Korf z goryczą i nie bez trudności — nie okazywał mi lekceważenia i pogardy, gdy ubiegał się... o moją przyjaźń.

— O panie! — zawołała Zofia — proszę mi wierzyć, że nie potępiam wcale tych, którzy własną pracą zdobywają majątek i wysokie stanowiska. Kwestyę urodzenia... pomimo wychowania, jakie otrzymałam... uważam za zupełnie podrzędną. Jeśli zaś stwierdzam fakty panu niemiłe, to tylko dla jaśniejszego określenia naszego wzajemnego położenia. Gdy mnie pan pozna lepiej, przekonasz się, że nie żywię się przesądami. Skonstatować jednak muszę, że pan chce ożenić się ze mną dla tego tylko, że zowię się Wielohradzką, a panna Wielohradzka, zostawszy baronową Korf, będzie mogła wprowadzić męża do zamkniętej sfery towarzyskiej, którą pan pragnie uważać za własną. Odpowiedz mi pan szczerze, czy nie to jest pańskiem głównem życzeniem i pańską ambicyą... zresztą zupełnie słuszną i ze wszech miar usprawiedliwioną?

— Dziękuję ci panno Zofio. Ułatwiasz mi odpowiedź — odparł żwawo baron, ujęty i poniekąd wzruszony szczerością dziewczęcia. Gotów jestem odsłonić ci serce w taki sam sposób, w jaki pani przedemną odsłoniłaś swoje. Nie ukrywam wcale mego niskiego pochodzenia, jakkolwiek mógłbym twierdzić nie bez racyi, że ojciec mój naprzód jako wygnaniec, następnie jako emigrant z r. 1863, należał do sfery jeśli nie arystokratycznej to przynajmniej szlachecko-ziemiańskiej. Matka moja... jedyna żyjąca osoba z całej mojej rodziny... to wzbogacona chłopka francuska, która z miłości poślubiła Polaka. Ja zaś jestem zuchwalcem, któremu dotąd wszystko wiodło się w życiu... Lekceważę tytuł, nabyty za pieniądze... Wszakże dziś wszyscy, którzy weń ustroić się pragną, jak ja go kupują!.. Pani mnie nie potępia, że urodzony na nizinach, wspinam się ciągle ku wyżynom. Szczerość jej zachwyca mnie i przejmuje niewysłowioną radością... W świecie twoim panno Zofio tak wszyscy zawsze kłamią, że wobec szczerości, z jaką raczysz do mnie przemawiać, z czcią najgłębszą uchylam przed tobą czoło.

Gestem pogardy zdawał się odpychać zrujnowaną i próchniejącą warstwę społeczną, do połączenia się z którą dążył jednak tak uparcie i wytrwale.

Zofia spoglądała na niego z podziwem. Nagle stanął przed nią inny człowiek, dotąd zupełnie jej nieznany; niepodobny do tego, którego hrabia jej przedstawił, ani taki, jakim go sobie wyobraziła sama.



Mam więc rywala — wyjąkał baron.

— Ja także nauczyłem się kłamać — mówił dalej — zwłaszcza w gronie przyjaciół. Przyjacielem moim zwykle zwie się człowiek zupełnie mi obojętny, z którym łączą mnie interesa pieniężne, albo relacye klubowe. Otóż z tymi panami i ja kłamię bardzo często. Pod uprzejmością banalną i udaną dystynkcyą ukrywam charakter gwałtowny!... Kocham jednak prawdę, więc wyznam pani otwarcie, że w pierwszych chwilach poznania się mego z panami Wielohradzkimi, to jest zaraz po powzięciu zamiaru poślubienia jej, myślałem tylko o stosunkach towarzyskich, jakie pozyskam przez małżeństwo z panią. Potrzebowałem żony, któraby mi dała to, czego mi brakowało: środki zetknięcia się z wielkim światem. Lecz ojciec twój pokazał mi panią, panno Zofio, w loży Teatru Wielkiego... Ujrzawszy cię, oczu od niej oderwać nie mogłem, zachwycałem się tobą cały wieczór... i przysięgam, że mylisz się twierdząc, iż piękność sama nie może obudzić gorącej miłości. Począwszy od owego wieczoru kochałem panią prawdziwie... kochałem szalenie!...

Zofia zmieszana nieco, szepnęła:

— To tylko fantazya... złudzenie wyobraźni...

— Czyż bez współudziału wyobraźni miłość istniećby mogła? — odparł Korf tonem przekonania. Gdy przybyłem do Sielanki, aby czas zbyt krótki spędzić w pani towarzystwie, czy myślisz panno Zofio, że nie zadawałem sobie trudu zbadania tego czegoś tajemniczego, co ukrywa się pod twoją pięknością? Czy sądzisz, że nie starałem się odgadnąć, jaką masz duszę i jakiemi wzruszasz się uczuciami?... Wydałaś mi się bardzo dobrą, nie znającą życia zupełnie, prawie dzieckiem... Dziś radość mnie przejmuje, gdy widzę cię dumną, śmiałą... odważnie prawdzie spoglądającą w oczy! To wszystko zwiększa moje uwielbienie.. Miłość moja dla pani jest bardzo szczera i pełna dla niej czci najgłębszej, więc obrażać cię nie powinna...

— Nie obraża mnie — odpowiedziała Zofia melancholicznie — lecz błagam pana, zgaś czemprędzej jej płomień w piersi, gdyby bowiem miała być trwałą, położenie nasze stałoby się niezmiernie przykre... Bo... bo ja pana nie kocham i kochać nigdy nie będę... Za nic w świecie kochaćbym go nie mogła!...

Korf uśmiechnął się dobrodusznie.

Myślał sobie: pewno chwilowy kaprys dziewczęcy, wspomnienie przelotnej miłostki, zrodzonej na pierwszym balu... jedno z owych marzeń panieńskich, rozwiewających się jak dym w dzień ślubu...

— Czyż już dziś może pani wiedzieć, że kochać mnie nie będziesz?... Wdzięczny jestem, że mówisz mi, co myślisz, bo nie jestem tak zarozumiały, abym się jej słowami obrażał. Nie znasz mnie jednak jeszcze, więc nie możesz wiedzieć, czy podobny jestem lub nie do ideału męża, jaki stworzyła pani wyobraźnia.

Zofia zaprzeczyła poruszeniem głowy. On zaś mówił dalej bardzo czule:

— A może nie chcesz narzuconego ci męża?... Może przymusem starano się nakłonić panią do oddania mi ręki?... Więc czujesz się słusznie w dumie swej obrażoną, że bez twego zezwolenia rozporządzono życiem twojem i osobą, ależ chciej przedewszystkiem uwierzyć, że jedynem pragnieniem mojem jest pozyskać miłość pani... że zatem zostanę twym mężem dopiero wtedy, gdy sama zgodzisz się na to dobrowolnie!

Zofia zaprzeczyła znowu poruszeniem głowy.

— Nie panie!... nie to wszystko!... To co nas rozdziela, a rozdziela na zawsze, jest czemś ważniejszem. Dziękuję panu bardzo, że swą dobrą szczerością i uprzejmością nadzwyczajną ułatwiasz mi obowiązek wyznania ci bolesnej prawdy.

Korf stracił nagle pewność siebie i arogancką nieco fantazyę, z jaką przemawiał dotąd, tak brzmienie głosu Zofii wydało mu się głębokiem i smutnem. Krew uderzyła mu do mózgu, oblewając śniade jego lica siną czerwonością.

— Przed poznaniem pana kochałam innego tak bardzo i tak gorąco, jak pan prawdopodobnie pragniesz być kochanym.

— Mam więc rywala? — wyjąkał baron głosem groźnym, chociaż całą siłą woli powstrzymywał się od wybuchu.

— Nie masz go już pan, niestety! — rzekła, wznosząc oczy w niebo. — Bóg mi go zabrał!

Szalona radość owładnęła nagle sercem Korfa. „Jeśli mnie czeka walka z samem tylko wspomnieniem o zmarłym — pomyślał — no, to ani na chwilę nie wątpię, że zwyciężę“.

— Uszanuję boleść, która mnie ani razi, ani upokarza — rzekł niemal natychmiast z udanem współczuciem. — Nie tracę jednak nadziei, że przyjdzie dzień upragniony, w którym zdołam pocieszyć panią po poniesionej stracie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zamordowanie egzarchy Gruzyi.

Powszechnie sądzono, że okres mordów na tle kościelno-narodowem i politycznem w Tyflisie już się ukończył, tymczasem tak się nie stało, gdyż telegramy doniosły niedawno o zamordowaniu arcybiskupa Nikona, egzarchy Gruzyi.

Wiadość o morderstwie wysokiego dostojnika kościoła prawosławnego, wstrząsnęła silnie opinią publiczną w całej Rosyi, gdyż był to mord dotąd niebywały. Pobudki mordu są ciągle przedmiotem domysłów i kombinacyi, zdaje się jednak, że tło politycznej natury musi tu być wykluczone, pozostają więc tylko pobudki z dziedziny kościelnej.

Gruzya, należąca niegdyś do Persyi i Turcyi, w późniejszych czasach dostała się częściami pod panowanie Rosyi, a ponieważ w rzeczach wiary pomiędzy kościołem gruzińskim a prawosławnym nie zachodzi żadna różnica, więc od drugiej połowy minionego wieku, św. Synod petersburski, dążąc do stworzenia jednolitej organizacyi kościoła wschodniego w całej Rosyi, zniósł odrębność kościoła gruzińskiego, a w miejsce „katolikosa“, obieralnego przez kler gruziński, ustanowił zwierzchnikiem hierarchii kościelnej egzarchę, mianowanego przez św. Synod. Egzarchami byli z reguły tylko Rosyanie; świeżo zamordowany egzarcha Nikon pochodził z gubernii kostromskiej.

Wskutek tej zmiany miejscowa ludność nie odnosiła się już z ufnością do swojego duchownego zwierzchnika. Duchowieństwo gruzińskie usunęło się zupełnie od egzarchy; zgłaszał się tylko ten z podwładnych, co musiał, mając obowiązek lub interes. Tutaj zdaje się szukać też należy pobudek mordu.

W krytycznym dniu, około godziny 11 rano, gdy egzarcha, wyszedłszy ze swego mieszkania, skierował swe kroki do kancelaryi synodalnej, kilku napastników, o ile się zdaje krajowców, oczekujących przy schodach, wiodących do kancelaryi, dało do niego szereg strzałów rewolwerowych, kładąc egzarchę na miejscu trupem. Towarzyszący mu mnich klasztorny został ciężko zraniony. Zabójcy zbiegli.

W kilka dni po zamordowaniu, przeniesiono zwłoki zabitego egzarchy z cerkwi egzarchialnej do soboru, stąd zaś na dworzec celu przewiezienia ich do Włodzimierza.



Zamordowanie egzarchy Gruzyi: Śmierć egzarchy Nikona.

Sprawców morderstwa dotąd nie wyśledzono.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy egzarcha raniony wystrzałami, pada nieżywy na schodach, wiodących do kancelaryi synodalnej.

Oświata w karczmie.

Smutny a niestety prawdziwy obrazek galicyjskiej kultury. Szkoła ludowa w karczmie!... Dziwowisko to oglądać można we wsi Bestwinie w pow. bialskim w Galicyi.

Pod względem pomieszczenia szkół ludowych, kraj nasz ma smutną sławę. Nie rzadkie są wypadki, że izby szkolne mieszczą się w ciasnej, ciemnej, na wpół przegniłej chałupie chłopskiej, w stodole lub śpichlerzu gminnym, a śmiało twierdzić można, że połowa z nich nie odpowiada najelementarniejszym warunkom hygieny i pedagogii. Wszak nawet ze sprawozdania Rady szkolnej krajowej wynika, że na 4535 budynków szkolnych było 798 całkiem nieodpowiednich, pomijając blisko 1000 wynajętych, a więc także nieodpowiednich. Słusznie też nauczycielstwo i ogół społeczeństwa oburza się tym fatalnym stanem budynków szkolnych i domaga się w tym kierunku reformy corychlejszej. Przecież jest to



Szkoła w karczmie: Obrazek galicyjskiej kultury we wsi Bestwinie pow. bialskiego.

wstydem dla kraju, że nauczycielstwo i dziatwa musi rujnować przedwcześnie zdrowie w norach, zwanych salami szkolnemi, w norach bez podłogi, wilgotnych, ciemnych, mieszczących się w pobliżu stajni lub chlewu.

A szkoła w karczmie — to wprost drwiny z oświaty ludowej. Niczem i nigdzie nieda się bowiem usprawiedliwić umieszczenie szkoły, czy izby szkolnej, w jednym budynku z karczmą, o jednem wejściu. To też nieraz nauczyciel tej szkoły musiał ochraniać dzieci przed demoralizacyą i napaściami pijaków, i prawie codziennie doznaje przeszkody w prowadzeniu nauki.

Wprost wierzyć się nie chce oczom i uszom, że coś podobnego istnieć może na samym zachodzie kraju. Ale to echo zacofania, to dzieło zgubnego systemu, jaki panuje w galicyjskiem szkolnictwie ludowem. Wstyd to i hańba dla gminy Bestwiny i władz szkolnych, żeby pod jednym dachem obok siebie wisiały dwa tak sprzeczne napisy jak: „S z k o ł a l u d o w a" z jednej strony drzwi wchodowych — a z drugiej: W y s z y n k p i w a, w ó d k i i r o s o l k i.

Z piekła perskiego.

Oczy całej Europy zwrócone są jeszcze w stronę Persyi, gdzie wprawdzie nastał już względny spokój, ale skąd każdej chwili można się spodziewać różnych niespodzianek; zachodzi głównie obawa, aby budzący się na całem terytoryum państwa padyszacha ruch młodoturecki nie wywołał nowych zawikłań na granicy persko-tureckiej.

Wogóle współczesna Persya, mało jest znaną ogółowi Europejczyków; może teraz, gdy monarchia despotyczna przemieniła się w konstytucyjną, ułatwiony będzie dostęp do kraju i pobyt w nim, choć Persowie w ogóle z nieufnością odnoszą się do Europy, której urządzenia starają się jednak powoli sobie przyswajać.

Najbardziej interesuje się Persyą Anglia i Rosya, których wpływy ścierają się ustawicznie na dworze teherańskim; dotąd przeważały zwykle wpływy angielskie, obecny szach zwrócił się jednak głównie ku Rosyi, która nie szczędzi mu pomocy materyalnej i moralnej, co znowu jest solą w oku Anglii.

Niedawny spór szacha z parlamentem i wynikłe stąd zaburzenia w całym kraju, obudziły zaciekawienie inteligentnej Europy, znającej dotąd Persyę jedynie z lektury starożytnych autorów w gimnazyum. Czasy Cyrusów, Xerxesów i Daryuszów niepowrotnie minęły. Obecna Persya nie przypo-



Z piekła perskiego: Stacya Daradis, między Djulfa i Tebris. Typy tatarskie z Zakaukazu.



Z piekła perskiego: Typ starego Persa z Tebris. Handlarze chleb w Tebris.



Pożoga borysławska: Oddział pionierów, zajętych gaszeniem pożaru w szybie »Oil City« Fot. B. Liebermann, Drohobycz.

mina niczem starożytnego, potężnego mocarstwa, nie od rzeczy będzie jednak zaznajomić Czytelników z państwem, które miało tak świetną przeszłość historyczną. W tym celu podajemy kilka zdjęć fotograficznych z okolicy miasta perskiego Tebris, stolicy prowincyi Azerbeidżan.

Tebris leży nad rzeką Adżydżujem, wśród żyznej równiny, wzniesionej około 1300 m. nad poziomem morza. Jest to jedno z ognisk perskiego handlu. Miasto posiada ruiny średniowiecznego zamku, willę następcy tronu, kilkaset meczetów, kilka kościołów ormiańskich i wiele wspaniałych bazarów i karawan-serajów (hoteli). Mieszkańców liczy Tebris przeszło 160 tysięcy.

Pożoga borysławska.

Mimo zapowiedzi, że ugaszenie pożaru w szybie „Oil City" jest kwestyą kilku dni, nie można się doczekać spełnienia tej zapowiedzi, a minęło dotąd nie kilka, lecz kilkanaście dni. Ropa gore dalej z siłą niezmierną, płomienie wzbijają się wysoko w górę, a gryzący dym olbrzymimi kłębami pokrywa całą okolicę. W promieniu około 100 kroków od płonącego szybu jest tak gorąco, że trzeba okrywać twarz i ręce, gdyż bez takiej osłony niepodobna nawet w tak znacznej odległości ustać na miejscu. Robotnicy, zajęci pracą około gaszenia pożaru, mają na sobie płaszcze z kapiszonami na głowę, a sikawki zlewają ich nieustannie wodą.

Widok pożaru zawsze wspaniały i groźny. Z ziemi wydobywają się trzy szerokie strugi ognia i zaraz łączą się w jeden wysoki słup, dosięgający kilku metrów. Otwór w ziemi, skąd bucha ogień, liczy w średnicy do 2 metrów. Wydobywa się zaś ten płomień przy akompaniamencie takiego huku i jakiegoś groźnego wycia, że trudno się porozumiewać w pobliżu tego miejsca.

Pożar szaleje więc dalej. Na szczęście jednak nie rozszerza się. Najwięcej zagrożony jest szyb „Śląsk", położony w bezpośredniej bliskości obok „Oil City". Dzięki energicznej akcyi ratunkowej, dzięki wytężonej pracy mnóstwa ludzi, udało się szyb ten izolować i uchronić go od grożącego niebezpieczeństwa. A zadanie to było do wykonania niełatwe, kłęby dymu bowiem otaczały ten szyb nieustannie, a szalony żar rozgrzewał drewniany budynek i wysoką wieżę. Chroniono go w ten sposób, iż węże sikawkowe zlewały zagrożone miejsca masami wody.



Fot. B. Lieberman Drohobycz.
Pożoga borysławska: Szyb »Śląsk« w Tustanowicach, obok płonącego »Oil City«.

Pożar szybu „Oil City" i trudność ugaszenia go, wywołuje coraz nowe pomysły i projekty, mające ugaszenie przyspieszyć. Jak dotąd, wszystkie one okazały się bezskutecznymi. Najrozmaitsze „powagi" zagraniczne występują ze swemi radami, ale praktyka stwierdza, że w pomysłach ich więcej blagi, niż rzeczywistej wartości. Natomiast projekty, podane przez siły fachowe, ale krajowe, przez galicyjskich, polskich robotników i techników, nie zostały nawet wzięte pod rzeczową rozwagę. Niedowierzanie to jest bardzo charakterystycznym ale i bardzo smutnym objawem.

Austryacki porucznik gubernatorem w Kongo.

Znane to i powszechnie stwierdzone przysłowie, że „*nemo propheta in patria*", „nikt prorokiem w ojczyźnie".

Ostatnimi czasy sprawdziło się ono na byłym oficerze armii austryacko-węgierskiej, poruczniku artyleryi Edwardzie Kadlec'u. Do 1 stycznia br. służył on w artyleryi austryackiej, lecz liche stosunki awansowe, jak również niemożebność dostania się do szkoły wojennej (Kriegsschule), co było jego marzeniem, zmusiły go szukać szczęścia poza granicami kraju. I rzeczywiście je znalazł.

Dwa pierwsze miesiące bieżącego roku zużytkował Kadlec na uzupełnienie swych studyów, a z początkiem marca rozpoczął podróż w głąb Afryki — do Kongo.

Kraj ten, jak wiadomo utworzony na konferencyi w Brukseli w r. 1885, obejmuje całe dorzecze rzeki Kongo, t. j. przeszło 2 miliony kilometrów kwadratowych z około 40 milionami mieszkańców.

Porucznik Kadlec zrobił tam szybko karyerę, gdyż ukończywszy w Brukseli kurs kolonialny z celującym postępem, został przez rząd belgijski przyjęty w charakterze „chef de Secteur", co odpowiada godności gubernatora. „Chef de Secteur"



Z piekła perskiego: Zawoalowane kobiety perskie w Tebris.



Austryacki oficer gubernatorem w Kongo: Porucznik artyl. Kadlec w uniformie austryackiego porucznika i jako urzędnik w Kongo.

jest oficerem, a zarazem członkiem trybunału sądowego i urzędnikiem administracyjnym.

Jedna z naszych illustracyj przedstawia porucznika Kadleca w uniformie austryackiej artyleryi, w którym było mu jednak za ciasno, druga w „wiele wygodniejszem“ ubraniu gubernatora państwa Kongo.

Pod znakiem powodzi.

Przerwały się upusty niebieskie... I lały się z nich strugi deszczu bez miary i bez końca, dzień za dniem. Więc niszczały plony w polach gnił i na marne szedł majątek rolnika. A spadające masy wody zbierały się w strumieniach górskich i w rzeczkach małych, które skutkiem tego rozlewały się coraz szerzej i przemieniały w ogromne rzeki. Cała ta masa wód, potężna siłą, groźna, tocząca się wartkim prądem, zbierała się do koryta Wisły.

W miarę trwania ulewy, stan wody na Wiśle podnosił się coraz wyżej i wyżej, a groźba wylewu, groźba tej najstraszniejszej klęski żywiołowej stawała się coraz potężniejszą i coraz prawdopodobniejszą. Ludność, zamieszkała w domach, położonych gęsto tuż nad brzegami Wisły, zarówno po wsiach, jak w Krakowie i jego przedmieściach, patrzyła z trwogą i przerażeniem na żółte, spienione fale rzeki, wsłuchiwała się z zapartym oddechem w ponury, złowrogi szum, oczekując lada chwila katastrofy.

Ze strony władz poczyniono wobec groźby powodzi wszystko, co w takich wypadkach może niebezpieczeństwu zapobiedz, a przynajmniej grozę klęski umniejszyć. Ostrzeżono więc ludność zawczasu i polecono mieć się na baczności, przygotowano łodzie i pontony do przewożenia ludzi i utrzymania komunikacyi, nagromadzono dalej w zagrożonych miejscach kobylice i deski, celem urządzenia chodników nad powierzchnią wody.

Pozyskano też pomoc wojskowości i kilka oddziałów pionierów zostało odkomenderowanych do czuwania nad brzegami wezbranej Wisły.

A deszcz lał i lał dalej, więc woda na Wiśle szła coraz wyżej. Dosięgła 2 metrów nad 0, potem półtrzecia, wreszcie 3 metrów. Brakowało już niewiele, aby masa wody wystąpiła z brzegów i rozlała się szeroko po okolicy Krakowa, po Podgórzu — zwłaszcza tam, gdzie te brzegi niskie i nie obwałowane. A że deszcz nie ustawał, więc zdawało się, iż nic już nie uchroni miasta przed nową klęską.





Pod znakiem powodzi: Prezydent dr. Leo na miejscu wylewu w ul. Wolskiej. Pionier śpiący po całonocnem czuwaniu w łodzi na wezbranej Wiśle.

Sytuacya stała się groźną zwłaszcza w ostatnich dniach ubiegłego tygodnia, w piątek i sobotę, gdy nastąpił częściowy wylew Rudawy w górnej części ulicy Wolskiej, tuż pod parkiem Jordana. Wylew Rudawy jest zwykle przygrywką do wylewu Wisły. Następuje wówczas, gdy poziom wody na Wiśle podniesie się tak wysoko, iż woda z Rudawy, płynąca znacznie wolniej niż w Wiśle, nie może odpłynąć, gromadzi się w swem korycie, a wreszcie występuje z brzegów. Stało się to w sobotę, skutkiem czego górna część ul. Wolskiej znalazła się pod wodą. Komunikacyę utrzymywał wóz straży pożarnej, przewożąc publiczność przez miejsca, zalane wodą.

Bardzo groźnie przedstawiało się położenie w ulicy Retoryka, gdzie woda wdzierała się do piwnic i suteren domów, kilka domów stało nawet częściowo w wodzie.

Nie mniej poważnie zagrożony był plac Groble. U brzegu Wisły czuwał tam oddział pionierów, pod kierunkiem kilku oficerów. Ustawiono tam szereg dużych łodzi i pontonów blachą obitych. Tak samo przy moście podgórskim czuwali pionierzy, bo i tam woda mogła każdej chwili wystąpić z brzegów i zalać niżej położone ulice.

Na szczęście powódź tym razem ominęła Kraków. Skończyło się na strachu. Od poniedziałku woda na Wiśle poczęła zwolna opadać, pozwalając mieszkańcom okolic nadwiślańskich odetchnąć swobodnie i spokojnie patrzeć w przyszłość.



Aparatem redakc. W. Lis.

Pod znakiem powodzi: Wóz strażacki, utrzymujący komunikacyę w ul. Wolskiej, zalanej wskutek wylewu Rudawy.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

przez Maurycego Leblanc.

I

Aresztowanie włamywacza.

Szczególna podróż! A jednak tak dobrze się zaczęła! Nie przypominam sobie, abym kiedy rozpoczynał drogę pod tak szczęśliwą wróżbą. „Andaluzya" jest statkiem szybkim, wygodnym, kierowanym przez najprzyjemniejszego z ludzi. Towarzystwo idealnie dobrane. Zawiązywały się stosunki, urządzały się rozrywki. Mieliśmy to przedziwne wrażenie oderwania się od całego świata, które pozostawia ludzi samym sobie, jakby na jakiejś wyspie nieznanej i zmusza przez to do wzajemnego zbliżania się. I zbliżaliśmy się.

Czyście się zastanawiali kiedy, ile jest nieprzewidzianej oryginalności w tem zgrupowaniu osób, które wczoraj jeszcze nie znały się wcale, a teraz, rzuceni między głębią morza i nieskończonością błękitów powietrznych zmuszeni są żyć czas jakiś w ścisłem zbliżeniu, razem znosić gniew oceanu, straszliwe szturmy morskich bałwanów, srogość burz lub zabójczy spokój uśpionej przestrzeni wodnej?

Wszakże jestto niby w skrócie tragicznym, życie samo z jego burzami i wielkością, z jego rozrywkami i monotonnością i może dlatego napawamy się niem z pewną gorączkowością, ze zbyt intenzywną może roskoszą, bo przy samem rozpoczęciu tej krótkiej podróży już spostrzegamy jej koniec.

Jednak od lat kilku istnieje pewna drobna rzecz, która dodaje podróży wzruszeń szczególnych. Mała wyspa pływająca, jakkolwiek czuje się woloną, w pewnej mierze zawisłą jest jeszcze świata. Istnieje łącznik, który rozluźnia się a tylko na pełnym oceanie i również po pełeanie zawiązuje się znowu. Telegraf bez dzew z drugiego świata, drogą najniezba tajemnic! Wyobraźnia niema dość siły, ysłowić sobie działanie tych nici żelaznych, ch pędzi niewidzialne poselstwo. Tajemnica ni strzygnięta, zarówno jak poetyczna, i chyba wytłomaczenie jej zdać tylko można na skrzydła wiatru.

Tak więc w pierwszych godzinach podróży niezważaliśmy, że pędzi za nami, towarzyszy, niekiedy nawet wyprzedza nas, ten głos oddalony, który od czasu do czasu wpada, aby szepnąć któremu z nas kilka słów zza świata. Do mnie przemówiło dwóch przyjaciół. Inni — dziesięciu, dwudziestu — przysłali nam wszystkim poprzez dzielące nas przestrzenie słowa pożegnania, tęskniące lub uśmiechnięte.

Na drugi dzień, o pięćset mil od brzegów francuskich, o południu w chwili silnej burzy, telegraf bez drutu przyniósł nam zawiadomienie następującej treści:

„Arsen Lupin u was, na statku pierwsza klasa, blondyn, rana na prawem przedramieniu, podróżuje sam pod nazwiskiem R..."

Tu nagle uderzenie piorunu wstrząsnęło powietrzem. Prąd elektryczny został przerwany. Reszta depeszy zginęła. Z nazwiska, pod którem ukrywał się Arsen Lupin, znaliśmy tylko pierwszą literę.

Gdyby szło o jaką inną tajemnicę, nie wiem, czy byłaby silniej strzeżoną przez wszystkich bez wyjątku urzędników statku, zacząwszy od samego komendanta do prostego listonosza. Ale bywają zdarzenia, które zdają się przełamywać najściślejszą ostrożność. Tego samego jeszcze wieczora w niewytłomaczony sposób dowiedzieliśmy się wszyscy, że Arsen Lupin ukrywa się pomiędzy nami.

Arsen Lupin wśród nas! Niedosięgnięty włamywacz, o którego wyprawach od dwóch miesięcy rozpisywały się wszystkie dzienniki! Zagadkowa istota, z którą stary Ganimard, najwyborniejszy nasz ajent policyjny udał się w pojedynek na śmierć i życie, obfitujący w tak malownicze wypadki! Arsen Lupin, fantasta gentelmen, który operuje tylko w salonach i pałacach, który wtargnąwszy pewnej nocy do barona Schormanna odszedł z próżnemi rękami, pozostawiając tylko kartę z paru skreślonemi słowami: „Arsen Lupin gentelmen - włamywacz powróci, skoro meble będą antentyczne". Arsen Lupin, człowiek tysiącznych przeobrażeń: po kolei palacz, tenor, bookmaker, syn w rodzinie, młodzieniec, starzec, komiwojażer, marsylczyk, lekarz rosyjski, hiszpański torero itd. itd.!

Trzeba tylko dobrze się zastanowić: Arsen Lupin poruszający się w tych ramach w każdym razie dość ciasnych transatlantyckiego statku, co mówię! w tych kącikach pierwszej klasy, gdzie znajdywaliśmy się w każdej chwili, w tej sali jadalnej, w tym salonie, w tym fiumuarze! Arsen Lupin, to może ten pan... albo tamten... mój sąsiad przy obiedzie... albo towarzysz w kabinie?...

— I to ma trwać jeszcze pięć razy po dwadzieścia cztery godzin! — wykrzyknęła nazajutrz panna Nelly Underdown — ależ to nie do zniesienia! Spodziewam się, że przecie go raz zaaresztują.

I zwracając się do mnie, dodała:

— Cóż pan na to, panie Andrezy, jesteś pan tak dobrze z komendantem, nicże pan nie wie, co?...

Radbym bardzo coś wiedzieć, aby przysłużyć się pannie Nelly! Była to jedna z tych wspaniałych istot, które wszędzie, gdzie tylko się znajdą, zajmą najwidniejsze miejsce. Piękność ich zarówno jak bogactwo, olśniewają. Posiadają cały swój dwór, wielbicieli, zapaleńców.

Wychowana w Paryżu przez matkę Francuzkę, jechała teraz do ojca, najpotężniejszego bogacza w Chicago. Jedna z jej przyjaciółek, lady Jerland, towarzyszyła jej w podróży.

Zaraz od pierwszej chwili postawiłem moją kandydaturę do flirtu. Ale podczas zbyt prędkiego zbliżenia się w podróży urok jej zaczął mię onieśmielać i kiedy wielkie czarne jej oczy spotykały się z mojemi, czułem się zanadto jak na flirt wzruszony. Przyjmowała jednak moje hołdy z pewną łaskawością. Raczyła uśmiechać się z moich dowcipów i słuchała z zajęciem opowiadanych przezemnie anegdot. Pewien rodzaj sympatyi zdawał się być odpowiedzią na moje wiernopodańcze służby.

Jeden tylko rywal trochę mię niepokoił; był to dość ładny chłopak, elegancki, dystyngowany i zdawaćby się mogło, że niekiedy przekłada jego posępność nad moje zachowanie się bardziej „zewnętrznione" nieodrodnego Paryżanina.

Właśnie znajdowała się w grupie otaczających ją wielbicieli, kiedy zadała mi powyższe pytanie. Znajdowaliśmy się wtenczas na pokładzie wypoczywając przyjemnie w wygodnych krzesłach okrętowych. Burza wczorajsza oczyściła niebo, czas był rozkoszny.

— Nic pewnego nie wiem miss — odpowiedziałem — lecz może nie byłoby niepodobnem, gdybyśmy sami przeprowadzili śledztwo, z równem powodzeniem jak stary Ganimard, osobisty nieprzyjaciel Arsena Lupin.

— Och, och, sięgasz pan zadaleko!

— Dlaczego? czyż sprawa tak zawikłana?

— Bardzo zawikłana.

— Zapomina pani o danych jakie posiadamy.

— Jakie dane?

— Po pierwsze: Lupin nosi nazwisko pana R..

— Wskazówka bardzo niejasna.

— Po drugie: podróżuje sam.

— Czy ta okoliczność wystarczyłaby panu?

— Po trzecie: jest blondynem.

— A zatem?

— Zatem, musimy tylko przejrzeć listę podróżnych i zbadać jak dalece kto odpowiada powyższym warunkom.

Miałem przy sobie tę listę. Dostałem ją i zacząłem przebiegać oczyma.

— Przedewszystkiem zaznaczam, że tylko trzynaście osób ma nazwiska zaczynające się na R.

— Tylko trzynaście?

— W pierwszej klasie tak. Na tych trzynastu panów R. dziewięciu ma żony, dzieci i służących. Pozostają tylko czterej: markiz de Raverdan...

— Sekretarz ambasady—przerwała miss Nelly — znam go.

— Major Rawson...

— To mój wuj — ktoś wtrącił.

— Pan Rivolta...

— Jestem! — wykrzyknął jeden z obecnych, jakiś Włoch, którego cała niemal twarz tonęła w brodzie przepysznie czarnej.

Miss Nelly wybuchnęła śmiechem.

— Stanowczo nie jesteś pan blondynem.

— Zatem — podjąłem znowu — jesteśmy zmuszeni orzec, że ostatni z listy jest winnym.

— To jest?

— To jest pan Rozaine. Czy zna kto pana Rozaine?

Nastało milczenie. Ale Nelly zwracając się do posępnego młodzieńca, który był przedmiotem mojego niepokoju, zapytała:

— Panie Rozaine, czemu pan nie odpowiada?

Zwróciliśmy nań oczy. Był blondynem.

Trzeba przyznać, drgnęło mi coś w głębi. Cisza, która nagle zapadła, kazała mi przypuszczać, że i inni uczuli to samo. A wszakże był to absurd, bo w zachowaniu się tego pana nie było nic takiego, coby pozwalało na podobne przypuszczenie.

— Dlaczego nie odpowiadam? — powtórzył— ponieważ moje nazwisko, samotność, kolor moich włosów, wszystko wskazuje, że śledztwo na mnie musi się zatrzymać; sam już je odbyłem i przyszedłem do tego samego rezultatu. Jestem zdania, że trzeba mnie zaaresztować.

Zabawną miał minę wymawiając te słowa. Wązkie jego usta, jak dwie nieugięte linie, zwęziły się bardziej jeszcze i zbladły. W oczach przebiegły krwawe żyłki.

Naturalnie — żartował. Wszakże w jego fizyognomii, w jego wzięciu się coś nas uderzyło. Miss Nelly spytała naiwnie:

— Ale pan nie masz rany?

— Prawda, braknie mi rany.

Nerwowym ruchem usunął mankiet i obnażył ramię. Ale tu uderzyło mię jedno. Wzrok mój spotkał się z oczyma panny Nelly: pokazał nam lewe ramię.

I zaprawdę chciałem głośno powtórzyć moje spostrzeżenie, gdy nagle inny wypadek odwrócił naszą uwagę. Lady Jerland, przyjaciółka miss Nelly, biegła ku nam zdyszana.

Była ogromnie wzburzona. Rzuciliśmy się ku niej; zaledwo po wielkim wysiłku zdołała wyjąkać:

— Moje klejnoty... moje perły... wszystko zabrane!

Nie, nie wszystko, jak to dowiedzieliśmy się natychmiast, tu było lepiej: wybierano!

Gwiazda brylantowa, brelok sadzony rubinami, kolia i bransolety — rozbite; wyjęto kamienie nie największe, ale najdoskonalsze, takie, które najmniej zajmując przestrzeni, największą posiadają wartość. Obsady leżały obok na stole. Widziałem je, widzieliśmy je wszyscy; ogołocone z kamieni wyglądały jak kwiaty, którym wyrywano najpiękniejsze, barwne, błyszczące płatki.

I aby wykonać tę robotę trzeba było w chwili, gdy lady Jerland schodziła na herbatę, wyłamać w biały dzień drzwi kabinki, wyszukać na dnie pudełka od kapelusza, małą torebkę podobnej barwy jak wnętrze pudła, otworzyć ją i wybrać kamienie!

W jeden głos krzyknęliśmy wszyscy. Nie było dwóch zdań wśród zgromadzonych: kradzieży mógł dokonać tylko jeden człowiek: Arsen Lupin. I rzeczywiście był to jego sposób: skomplikowany, tajemniczy, niepojęty.. a jednak bajeczny, bo jeżeli trudno było ukryć i przechować całą ilość klejnotów, o ileż łatwiej dało się to zrobić z oddzielnymi drobnymi szafirami, szmaragdami, perłami.

A przy obiedzie tak się stało: obok Rozaine, po prawej i po lewej stronie, oba miejsca pozostały próżne. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że został wezwany do komendanta.

Jego aresztowanie, o którem nikt nie wątpił, sprawiło istotną ulgę towarzystwu. Tego wieczora bawiono się w gry. Tańcowano. Miss Nelly szczególniej była w wyśmienitym humorze, co mię przekonało, że jakkolwiek mogła być nieobojętną na hołdy Rozaina, obecnie zapomniała o nich zupełnie. Jej wdzięk podbił mię do reszty. Około północy, przy jasnem świetle księżyca, ze wzruszeniem wyznałem jej moje uczucia, co niezdawało się jej niepodobać.

Ale nazajutrz, ku ogólnemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się, że w braku oskarżających dowodów Rozaine został wypuszczony na wolność.

Syn znanego przemysłowca z Bordeaux potrafił wykazać się zupełnie uporządkowanymi papierami. Prócz tego na obu rękach nie miał najmniejszego śladu zranienia.

— Papiery! metryka urodzenia! — wołali nieprzyjaciele Rozaina — ależ Arsen Lupin dostarczy ich tyle, ile zechcecie!... Co do rany, niemiał jej wcale... albo potrafił zatrzeć wszelki jej ślad!

Przekładano im, że w chwili popełnienia kradzieży Rozaine, co było dowiedzionem, przechadzał się na pokładzie. Na to odpowiadano:

— Alboż człowiek tego rodzaju, co Arsen Lupin, musi niezbędnie być obecnym przy spełnianiu kradzieży.

Zresztą poza wszelkiemi dowodzeniami, był je

den punkt, na który wszyscy, najbardziej nawet sceptyczni musieli się zgodzić. Któż oprócz Rozaina podróżował samotny, był blondynem i nazywał się na R.? Kogóżby wskazywała depesza, jak nie Rozaina?

I kiedy Rozaine na parę minut przed śniadaniem zbliżył się śmiało do naszego towarzystwa, miss Nelly i lady Jerland powstały zaraz i oddaliły się.

Było to pięknie, lecz także było w tem trochę obawy. W godzinę potem wśród urzędników załogi, majtków i podróżnych wszystkich klas krążył rękopis, z rąk do rąk podawany: pan Ludwik Rozaine obiecywał sumę dziesięciu tysięcy franków temu, kto wykryje Arsena Lupin, albo odnajdzie posiadacza zaginionych klejnotów.

— A jeśli nie znajdzie się nikt, ktoby mi pomógł w wykryciu zbrodniarza — oświadczył komendantowi Rozaine — ja mu wytoczę proces.

Rozaine przeciw Arsenowi Lupin, albo raczej — jak krążyła pogłoska — Arsen Lupin przeciw Arsenowi Lupin! Rzecz nie pozbawiona interesu!

Trwało to przez dwa dni. Widziano Rozaina, jak błąkał się po pokładzie, kręcił się wśród załogi, wypytywał, wściekał się. W nocy widziano snujący się jego cień.

Komendant ze swej strony rozwinął czynność jak najenergiczniejszą. We wszystkich zakątkach, z góry do dołu, przetrząśnięto całą „Andulazyę“. Szukano we wszystkich kabinach bez wyjątku, utrzymując bardzo słusznie, że klejnoty mogą być ukryte gdziekolwiekbądź, w każdem miejscu, z wyjątkiem kabiny winowajcy.

— Wykryją coś nareszcie nieprawdaż? — spytała mię miss Nelly. Choćby największym był czarodziejem, nie dokaże przecie, aby klejnoty stały się niewidzialnymi.

— Bez wątpienia — odparłem — w przeciwnym razie trzeba byłoby chyba zrewidować wnętrze naszych kapeluszów, podszewki, kamizelek i wszystkiego, co nosimy na sobie.

I wskazując mój kodak, przy pomocy którego fotografowałem ją bez końca w najprzeróżniejszych pozach, dorzuciłem:

— Czy naprzykład w takim oto aparacie, nie większym jak ten, sądzi pani, nie skryłyby się wszystkie drogie kamienie lady Jerland? Udać tylko, że się zdejmuje widoki — i sprawa skończona.

— Słyszałam jednak, że niema złodzieja, któryby nie pozostawiał po sobie jakiegoś śladu.

— Jest taki jeden: Arsen Lupin.

— Jakże potrafi?

— Jak potrafi? Nie myśli jedynie o kradzieży, ale i o wszystkich okolicznościach, które mogą go zdradzić.

— Z początku byłeś pan jakoś ufniejszym.

— Bo teraz sądzę go po jego robocie.

— Więc podług pana?

— Podług mnie tracą tylko czas.

Jakoż dowody i badania nie przynosiły żadnego rezultatu, a najmniej taki, który nie odpowiadał wcale czynionym wysiłkom: bo naraz — zegarek komendanta został skradziony.

Wściekły komendant podwoił usiłowania i jeszcze bardziej doglądał Rozaina. Wzywał go do siebie razy kilka. Nazajutrz o zachwycająca ironio! — znaleziono zegarek pomiędzy kołnierzykami komendanta drugiej klasy.

Wszystko to wyglądało na czarodziejstwo i zdradzało niemylnie sposób operowania Arsena Lupin, włamywacza bez kwestyi, lecz i zawodowego amatora. Działał z powołania i upodobania zapewne, lecz również i dla zabawienia się. Robił wrażenie takiego pana, który zabawia się sztuką, graną na jego rozkazy, a on za kulisami śmieje się na całe gardło z zawikłań i sytuacyi, które sam wymyślił.

Bez wątpienia był to artysta w swoim rodzaju i kiedy przyglądałem się Rozaine'owi, zaciętemu i pochmurnemu, a jednocześnie myślałem o podwójnej roli, którą odgrywał ten ciekawy osobnik, nie mogłem mówić o nim bez pewnego rodzaju podziwienia.

Wreszcie przedostatniej nocy jeden z oficerów załogi usłyszał jakieś jęki w najciaśniejszym kącie pokładu. Zbliża się. Jakiś człowiek leży rozciągnięty z głową zawiniętą szerokim szalikiem szarym, bardzo gęstym, i z rękami skrępowanemi cienkim sznureczkiem. Uwolniono go z więzów, podniesiono, otrzeźwiono.

Był to Rozaine.

Rozaine pochwycony wśród jednej ze swoich wędrówek, ubezwładniony i ograbiony. Wizytowa karta, przypięta szpilką do jego ubrania, nosiła te słowa:

„Arsen Lupin przyjmuje z wdzięcznością dziesięć tysięcy franków od pana Rozaina.“

W rzeczywistości zrabowany portfel zawierał dwadzieścia tysięcy!

Naturalnie padło podejrzenie, że nieszczęśliwy sam wymyślił cały napad na siebie. Ale prócz tego, że niepodobieństwem było związać się samemu w taki sposób, stwierdzono jeszcze, że pismo różniło się zupełnie od pisma Rozaina i raczej podobnem było zupełnie do pisma Arsena, które od-



Moje klejnoty... moje perły... wszystko zabrane.

tworzone, znaleziono w jakimś numerze starego dziennika.

A zatem Rozaine nie był Arsenem Lupin. Rozaine był Rozainem, synem przemysłowca z Bordeaux! A obecność Arsena Lupin potwierdzała się raz jeszcze i to takim strasznym czynem!

Zapanował teror. Nikt nie odważał się pozostać sam w kabinie, tem bardziej zapuszczać się w zbyt ciasne przejścia. Ludzie pewni siebie trzymali się swego towarzystwa. Lecz mimo to instynktowna nieufność wściskała się pomiędzy najbliższych.

Postrach bowiem nie pochodził od jakiegoś osobnika oznaczonego, oddzielnego i przez to mniej niebezpiecznego. Teraz Arsen Lupin to byli wszyscy. Nasza podniecona wyobraźnia przypisywała mu niezwykłe i bezgraniczne przymioty. Posądzano go, że ma zdolność cudownego przeobrażania się, że może być po kolei i szanownym majorem Rawsonem i szlachetnie urodzonym markizem de Raverdan, a nawet, bo nie brano już pod uwagę pierwszej litery, nawet każdym pierwszym lepszym, powszechnie znanym, mającym żonę, dzieci, służbę.

Pierwsze depesze nie przyniosły żadnych wieści, przynajmniej komendant nam ich nie udzielił, a takie milczenie nie mogło wpłynąć wcale uspokajająco.

Ostatni dzień zatem wydał się nieskończonym. Przeżyliśmy go w naprężonem oczekiwaniu jakiegoś nieszczęścia. Teraz nie będzie to już kradzież, nawet prosty napad, będzie to zbrodnia, zabójstwo. Nie przypuszczano, aby Arsen Lupin zatrzymał się na prostem przestępstwie. Był absolutnym panem statku, zwierzchność spadła do zera, mógł tylko zechcieć i wszystko mu było wolno, rozporządzał mieniem i życiem każdego.

Dla mnie były to błogie chwile, wyznaję, bo dały mi zupełną ufność miss Nelly. Wzruszona tylu wypadkami, już z natury rzeczy niepokojącymi, bezwiednie szukała u mego boku opieki, pewności, co jej z najwyższem szczęściem ofiarowałem...

W gruncie rzeczy błogosławiłem Arsena Lupin. Czy to nie on nas zbliżył? Czy nie jemu zawdzięczam najpiękniejsze moje marzenia? Marzenia miłości, które wyznajmy, nie tak bardzo były chimeryczne. Andrezowie pochodzą z dobrego starego rodu, a chociaż blask jego trochę obecnie przyćmiony, nie zdaje mi się niegodnym szlachcica, jeśli pragnie imieniu swemu powrócić świetność straconą.

I czułem, że marzenia te wcale nie oburzały miss Nelly. Jej uśmiechnięte oczy upoważniały mię d[illegible] nich. Słodycz jej głosu mówiła m[illegible] o nadziei.

Aż do ostatniej chwili, wsparci o parapet pokładu, ramię przy ramieniu, przyglądaliśmy się brzego[illegible] amerykańskim, wynurzającym się [illegible] nam z oddali.

Przerwano szperania śledcze [illegible] czekiwano. Od pierwszej kla[illegible] do niższego pokładu, gdzie [illegible] od emigrantów, wszyscy oc[illegible] z naprężeniem stanowczej [illegible] w której rozwiąże się wres[illegible] rozstrzygnięta zagadka. Kt[illegible] senem Lupin? Pod czyje[illegible]mienien, pod czyją maską ukrywał się sławny Arsen Lupin?

I oto chwila stanowcza nadeszła. Choćbym żył lat sto, niezapomnę najdrobniejszego jej szczegółu.

— Jaka pani blada, miss Nelly — zawołałem do mojej towarzyszki, opartej na mojem ramieniu, prawie mdlejącej.

— A pan! — odpowiedziała — ach, jak pan zmieniony.

— Czy panią to dziwi? Taka natężona chwila i mam szczęście przeżywać ją obok pani, miss Nelly. Zdaje mi się, że pani wspomnienie zatrzyma się też czasem na niej..

Zgorączkowana, zdyszana, nie słuchała mię. Spuszczono pomost. Lecz za nim pozwolono nam wstąpić nań, inni już zaczęli wchodzić: poborcy cłowi, mundury, tragarze.

Miss Nelly szepnęła:

— Nie zdziwiłabym się, gdyby Arsen Lupin wymknął się teraz.

— Może wolałby w tej chwili śmierć, niżeli hańbę, raczej pogrążyć się w Atlantyku, niż zostać aresztowanym.

— Nie żartuj pan — odparła podrażniona miss Nelly.

Nagle zadrżałem, a gdy mię spytała, odrzekłem:

— Spostrzega pani tego starego człowieka tam, przy końcu pomostu.

— Z parasolem, w oliwkowo - zielonym surducie?

— To Ganimard.

— Ganimard?

— Tak, sławny agent policyjny, który poprzysiągł, że on, a nie kto inny złowi Arsena Lupin. Ach rozumiem, dlaczego nie było wiadomości z tej strony oceanu. Ganimard tu był! A on lubi, aby nie wtrącano się w jego drobne sprawy.

— A więc Arsena Lupin schwytają napewno?

— Kto wie? Prawdopodobnie Ganimard zna go tylko w przebraniu i zmienionego. Zwłaszcza jeśli niezna jego przybranego nazwiska...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bohaterski czyn ratownika.

Wezbrane przez szereg dni nurty Wisły mogły się stać w ubiegłym tygodniu grobem dla trzech ludzi, flisaków spławiających galarami kamienie. Płynęli oni galarem od Bodzowa ku Niepołomicom. W chwili gdy zbliżyli się do filarów mostu podgórskiego, gwałtowny wir wody porwał ciężkimi kamieniami naładowany galar i zakręciwszy nim, przechylił w tył. Woda wdarła się z szaloną szybkością do galaru, który obciążony w ten sposób, zniknął natychmiast pod powierzchnią fal — a z nim razem trzej flisacy: Feliks Nazimek, Adam Wyczynek i Stanisław Kotaba.

Rozpoczęły się rozpaczliwe zapasy biedaków z potężnemi falami rzeki. Wynik zapasów nie mógł być wątpliwy. To też licznie podówczas zebrana na moście publiczność z przerażeniem spoglądała na straszną walkę, która toczyła się w jej oczach. Widok tonących flisaków, bezradnie i bezskutecznie wyglądających przez dłuższą chwilę pomocy, był wstrząsający i na długo pozostanie w pamięci świadków.

W krytycznej chwili zjawił się ratunek. Oto Romuald Wroński, ratownik miejski z Podgórza, pełniący służbę na prawym brzegu Wisły, tuż obok ekspozytury policyi, zobaczywszy straszny wypadek i widząc niebezpieczeństwo grożące biednym flisakom, podpłynął na swej łódce z nieopisaną chyżością ku tonącym i dwu z nich zdołał wydobyć z narażeniem własnego życia z nurtów rzeki. Trzeci tymczasem, najsilniejszy z nich i najlepszy pływak, zdołał się sam ocalić, zwłaszcza że publiczność wsparła go, gdy był w pobliżu brzegu. Dzielny ratownik nie poprzestał na ocaleniu życia flisaków, lecz pospieszył dalej, by uratować i część mienia nieszczęśliwych. Oto zdołał pochwycić budkę flisacką, w której znajdowało się ubranie, pierzyna i 15 koron, własność flisaków.

Bohaterski czyn ratownika podgórskiego, przyjęły tłumy zebranej tam publiczności z ogromnym entuzyazmem. A najbardziej i najszczerzej wdzięczni są dzielnemu człowiekowi dwaj uratowani przezeń flisacy, którzy też ze łzami w oczach dziękowali mu za ocalenie życia.



Pod znakiem powodzi: Fotograf *Nowości Illustrowanych* na łódce pod mostem podgórskim w chwili dokonywania zdjęć dla naszego pisma.



Bohaterski czyn ratownika: Romuald Wroński.

Przykuto go więc do łańcuszka na środku placu między stajniami wojskowemi, tworzącemi duży czworobok.

„Wania“, w którym dzika natura z każdym dniem się wzmagała, karał śmiałka, który poważył się przybliżyć na odległość jego łapy, czy to więc koń ciekawy, chcący obwąchać kudłate dziwo, czy to żołnierz zbyt śmiały, każdy odbierał poczęstunek twardej łapy króla stepu.

Trzy razy na dzień wypuszczano konie dragońskie ze stajni i pędzono do studni dla napojenia. Otóż jeden z nich, nazwiskiem „Grysza“, nie pominął nigdy sposobności i zamiast do studni w wesołych podskokach, zbliżał się do „Wani“, chcąc się z nim bądź co bądź zaprzyjaźnić. Nie uszło mu to z razu na sucho, ale z czasem nasz „Wania“ tak polubił niezrażonego niczem natręta, że w chwili gdy wypuszczano konie do wody, „Wania“ rwał się na łańcuchu, nie mogąc doczekać chwili, w której zwykł był rzucać się w objęcia swego, teraz już serdecznego przyjaciela „Gryszy“.

Bo też co za rozkoszne wyprawiali harce, jak się tarzali po ziemi, ocierali łbami o siebie, lizali nawet językiem!

Lecz wszystko na świecie ma swój koniec... pewnego pięknego poranku, kapitan będący właścicielem „Gryszy“, sprzedał go pod wierzch właścicielowi sąsiedniego majątku. Napróżno „Wania“ oczekiwał dzień cały swego serdecznego druha; wszystkie konie wybiegły ze stajni... „Gryszy“ jednak między nimi nie było. Posmutniał nasz „Wania“; siedział osowiały przy słupie, do którego był przykuty, odmawiał pożywienia i napoju i była obawa, że zdechnie z tęsknoty.

Biedny „Wania“! Stracił jedynego przyjaciela na świecie.



Serdeczni przyjaciele: Igraszki niedźwiedzia »Wani« z koniem »Gryszą«.

Serdeczni przyjaciele.

Było ich dwóch.... bardzo się kochali. Jeden z nich, urodzony na stepach rosyjskich i ochrzczony przez swego pana imieniem „Wania“, z chwilą gdy podrósł, stał się niebezpiecznym dla otoczenia, tak że oprócz pana, który go przywiózł do Warszawy, gdzie jako podporucznik pułku dragońskiego pełnił służbę i jednego z żołnierzy, który go żywił, nie pozwalał nikomu zbliżyć się do siebie.

Kronika tygodniowa.

(Mokra sprawa galicyjsko-austryacka. — Powodziowa przygoda obywatela zwierzynieckiego. — Co mu »odpisano«? — Utrapienia letników. — Kraków lepszy od Berlina. — Czego chcemy od magistratu?)

Farsa pod tytułem „Mokra sprawa", którą przez kilka tygodni można było oglądać na scenie krakowskiego teatru ludowego, jest oddawna stałą ozdobą repertuaru galicyjsko-austryackiej polityki ekonomicznej. Wylewy powtarzają się w Galicyi każdego roku, raz jako lokalne, to znowu jako powiatowe, to wreszcie jako krajowe. Są już niejako stałą instytucyą ziemi naszej, podobnie jak dodatki do podatków, przepełnienie szkół średnich, kolczykowanie świń, albo patent stemplowy. Mokniemy bezustannie, czasem po kolana, czasem po pas, czasem po szyję — no, a czasami toniemy, czekając z przykładną cierpliwością na przybycie ministeryalnej stacyi ratunkowej z Wiednia, albo namiestniczej ze Lwowa.

Stacya ratunkowa przyprowadza topielców do życia i powiada im, ażeby zorganizowali obywatelski komitet ratunkowy. Samopomoc jest największą cnotą społeczną i świadczy najlepiej o dojrzałości osobników bez egzaminu, zreformowanego przez ministra oświaty p. Marcheta. Zresztą pozwala stacya ratunkowa udawać się topielcom do władzy podatkowej z „prośbą" o częściowe lub zupełne „odpisanie" podatku. Rząd jest wyrozumiały i pojmuje, że topielec, który zdołał zaledwie życie uratować, niema ani z czego, ani od czego podatku opłacić. Od golizny nie płaci podatku nawet Wenus, czasami z niej żyjąca. Korzystając z tak bezprzykładnej łaskawości rządu, pewien obywatel zwierzyniecki, któremu w roku 1903 powódź zniszczyła skład materyałów budowlanych, wniósł „należycie udokumentowane podanie", ażeby mu c. k. władza „raczyła odpisać" podatek. Jakoż c. k. władza po dłuższym czasie raczyła odpisać, a mianowicie wezwała owego obywatela, ażeby przybył do administracyi podatków. Obywatel, nie mając czasu do stracenia, najął fiakra za koronę i pojechał do wspomnianej władzy, która w roku pańskim 1903 rezydowała przy ul. Warszawskiej. Tam przez dwie godziny chodził od biura do biura, od stolika do stolika, aż wreszcie dowiedział się, że „dotyczący referent" wyjechał na komisyę, ale będzie nazajutrz w biurze.

Obywatel, straciwszy pół dnia czasu, poszedł do handelku, ażeby się tam posilić i użalić przed znajomymi. Ponieważ jest oszczędny, więc na śniadanie wydał tylko 2 korony, a do domu powrócił piechotą, gdyż przed objadem nie miał już nic do roboty.

Nazajutrz pojechał znowu na ul. Warszawską. Tym razem „dotyczący referent" był obecny i oświadczył obywatelowi, że dobrotliwa władza „odpisała" mu z podatku zarobkowego... jedną koronę... Obywatel — jak to powiadają — ogromnie zdębiał.

— Jedną koronę? — zapytał z niedowierzaniem.

— Powiedziano! jedną koronę, „eine Krone"— odparł referent.

— Niech zostanie „na miotłę" — krzyknął obywatel i wyleciał jak furya z urzędu, zbudowany wielce dobrotliwością c. k. władzy.

Jak daleko mogę tylko sięgnąć wstecz pamięcią, regulacyą rzek galicyjskich zajmuje się nieustannie Koło polskie w Wiedniu. Trzej z kolei „wielcy" prezesowie Koła, to jest Grocholski, Jaworski i Głąbiński, nie licząc Benoego i hr. Dzieduszyckiego, zajmowali się i zajmują tą sprawą. Zajmuje się nią także i rząd, który co najmniej od 30 lat reguluje galicyjskie rzeki. Zapytacie o skutek? A no — skutek „*ut supra*", a mianowicie coroczne wylewy.

Cząstkowa, dorywcza regulacya rzek naszych w bardzo wielu wypadkach, zamiast pożytku, przynosi jeszcze większą szkodę. Nie należy winy przypisywać inżynierom naszym, ale centralnemu rządowi, który wobec Galicyi trzyma się stale systemu łatania i daje zaledwie tysiące tam, gdzie potrzeba koniecznie milionów.

Długotrwała słota wypłoszyła z letnich siedzib wielu Krakowian, którzy powrócili do miasta, mówiąc sobie, że przecież lepiej siedzieć w kawiarni Bisanza, niż na wsi w ciasnej izbie, pełnej dokuczliwych much. Oczywiście przeważna część letników pozostała na wsi, czekając z dnia na dzień na pogodę i codziennie się zawodząc. „Siedzę od siedmiu dni w dusznej izbie o jednem oknie — pisał do swoich przyjaciół jeden z letników — rachuję belki w suficie, chwytam w powietrzu muchy, albo z pamięci obliczam długi moje. Nadzwyczajnie miłe i pouczające zajęcie. Czasami — to znaczy co najmniej trzy razy dziennie — żona czyni mi srogie wyrzuty, że ją wywiozłem na „tę pustynię". Bóg świadkiem, że ona mnie wywiozła. Już w marcu zaczęła się żalić, że ją kłuje w płucach, że ma widocznie „zajęte" płuca, że wpadnie w suchoty. Odpowiedziałem, ażeby się poradziła lekarza, na to zaś żona odparła: „Co tam lekarz. Ja potrzebuję Zakopanego i kwita". Mogłem powiedzieć z Papkinem: „Krokodyla? Tylko tyle!" —znając atoli moją żonę, wolałem naturalnie milczeć.

W kwietniu do suchot przyłączyła się — o ile pamiętam — choroba wątroby, w maju ogólne zdenerwowanie, a w czerwcu codzienne płacze. Oczywiście podpisałem weksel i siedzę z żoną obecnie na wsi. A ona powiada, że ją wywiozłem „na tę pustynię". „O Boże!..."

Drugi letnik, mieszkający u leśniczego, czyścił z nudów broń swojego gospodarza, a następnie zaczął tresować wyżła młodego. Wyżeł ukąsił w łydkę nie znającego się na rzeczy letnika, a leśniczy powiedział mu, to jest letnikowi, nie wyżłowi: „Panie, do mojej żony, strzelby i psa, niech się pan nie dobiera".

Trzeci letnik, widząc chłopów chodzących boso po błocie wiejskiem, a pamiętny owej chwili, gdy z kamaszków wodę wylewał, zgubiwszy poprzednio kalosze w bezdennej glinie rozmokłej, postanowił pójść za przykładem chłopów, no i także nieocenionego ks. proboszcza Kneippa. Wybrał się tedy boso na spacer, a dzisiaj... leży w Krakowie chory na zapalenie płuc. Jeżeli wyjdzie cały z choroby, pojedzie do Zakopanego i tam się odbije. Ale nuż droga pójdzie na... Rakowice? Najlepiej uczynił ów letnik zrozpaczony słotą, który poszedł za odezwą Koła pań Towarzystwa szkoły ludowej, sprowadził dla dzieci książeczki z Krakowa i zaczął nauczać dziatwę wiejską. „Nie nudzę się — owszem jestem zadowolony — pisał do swoich przyjaciół. Żal mi tylko, że klęska powodzi naprowadziła mnie dopiero na tę myśl".

Pomówmy nieco o sprawach miejskich. Jadąc wczoraj z dworca kolei do mostu podgórskiego tramwajem, musiałem na ulicy Floryańskiej przesiąść się razem z innymi pasażerami z jednego wozu do drugiego z powodu przerwy w komunikacyi bezpośredniej przez budowę kanału. Jadąc ku mostowi słyszałem rozmowę na tem tle, pełną utyskiwań na magistrat, przedsiębiorcę budowy itd. Wkrótce cały przedział brał udział w utyskiwaniach, które — przyznam się otwarcie — również i ja podnosiłem.

— Coś podobnego byłoby w Prusiech niemożliwe — mówił jeden z pasażerów. Tam podobne rzeczy idą raz dwa. U nas przez cały miesiąc zamknięta jest jedna z najruchliwszych ulic z krzywdą dla kupców, lokatorów i przechodniów. Co tu się dziwić, gdy Prusak powiada: „*Polnische Wirtschaft*".

Może on prawdę mówi — myślałem, wysiadając przy moście podgórskim, ażeby naocznie zbadać stan wody w Wiśle. Ale przypadek opiekuje się czasem czcią niewinnie spotwarzonego. Oto w poniedziałek biorę do ręki „*Berliner Lokal-Anzeiger*" z dnia 26 b. m. (nr. 376) i odczytuję kronikę tygodniową tego pisma pod stałym tytułem *Berliner Beobachter*. Oczom własnym nie wierzę. Ależ budowa kanału na ulicy Floryańskiej może być przykładem dla Berlina, stolicy Prus i Niemiec. Oto w Berlinie na ulicy Greifswaldskiej budują kanał, a jak go budują, niechaj nam opowie wspomniany dziennik berliński.

„Nie ulega wątpliwości — powiada *Lokal-Anzeiger* — że już obecnie z powodu takiego ulubionego sposobu budowania, cały szereg kupców padł jego ofiarą. Zagrożony jest ich majątek, ich byt, niejednemu grozi ruina. A dlaczego tak jest? Oto dlatego, że w wielkim Berlinie do robót i budowli publicznych używa się zbyt mało pracowników, skutkiem czego roboty owe wedle swoich rozmiarów ciągną się przez miesiące, a nawet lata całe.

Przed półtora rokiem rozpoczęto na ulicy Greifswaldskiej prace kanalizacyjne poza wylotem ulicy Gdańskiej, a dzisiaj na całym zachodnim pasie ulicy, na przestrzeni około jednego kilometra, nie można przejść nietylko ulicą, ale nawet chodnikiem.

Przed kilku tygodniami pomnożono liczbę robotników o kilku, ale trzebaby co najmniej całą tę liczbę powiększyć dwukrotnie, a nawet trzykrotnie, ażeby usunąć te stosunki, rzeczywiście nieznośne. Kiedy jednakże się widzi, jak patryarchalnie brukuje kilku robotników zasypaną przestrzeń, a jak na innem miejscu już naprzód, jakby „na zapas", usuwany jest bruk, jeżeli następnie widzimy, że parowy młot wbija żelazne piloty przeważnie tylko w nocy, wstrząsając budynkami nawet w sąsiednich ulicach i budząc ludzi ze snu — wtedy pojmiemy, że mieszkańcy, których liczne petycye nie odniosły żadnego skutku, są głęboko rozgoryczeni.

Przed niektórymi domami ustawiono stosy kamieni, sięgające aż popierwsze piętro. Słuszne też panuje oburzenie na to, że jest za mało przejść, skutkiem czego kupcy tracą klientelę, która nie chce przedzierać się przez błoto i rumowisko do sklepów. A wszyscy się zapytują, coby się działo na wypadek pożaru, gdyż ustawienie mechanicznych drabin byłoby niemożliwe. A co z październikową przeprowadzką? Bo przecież nikt już nie wierzy, ażeby w bieżącym roku roboty ukończono".

Tak budują kanały w Berlinie, stolicy Prus, posiadających rzeczywiście sprężystą administracyę rządową i miejską. Niechże owo towarzystwo w wozie tramwajowym, które tak ostro występowało przeciwko „porządkom" na ulicy Floryańskiej, przeczyta sobie zacytowany ustęp, a przekona się, że „gospodarka polska" nie jest wcale gorszą od pruskiej, w tym wypadku nawet lepszą. Podpisany przyznaje się do grzechu, że brał także udział w owej ujemnej krytyce, ale obecnie naprawił złe, za co sam siebie... chwali.

Wogóle Krakowianie żądają od magistratu „swojego" nietylko bardzo wiele, ale nawet za wiele. Nawet za rzeczy, dziejące się poza Krakowem, czynimy często odpowiedzialnym krakowski magistrat. Pewien pan, urzędujący w Krakowie, ale mieszkający w Nowej Wsi Narodowej, żalił się, że gospodarz domu nie troszczy się wcale o porządki w kamienicy. „Trzeba pójść do magistratu" — zakończył swoje żale. „Chyba do wójta?" — poprawiłem. Nastąpiła dosyć długa polemika, zanim zdołałem wytłomaczyć owemu panu, że Nowa Wieś jest odrębną jednostką administracyjną, która kiedyś dopiero, gdy powstanie „wielki Kraków", zależeć będzie od naszego magistratu. Dotąd rządzi tam jeszcze urząd gminny i starostwo.

— Wielki Kraków? Kiedyż on powstanie? — zapytał jegomość, urzędujący w Krakowie, a mieszkający w Nowej Wsi.

— Aż sejm galicyjski uchwali odpowiednią ustawę — odpowiedziałem. A kiedy sejm się zbierze, to wie tylko Bóg i prezydent gabinetu austryackiego, baron Beck, któremu się wcale nie spieszy ze zwołaniem naszego sejmu.

h. j—e.

Z półek księgarskich.

Mapa Polski: Dotychczas ubogie a nie liczne wydania nasze kartograficzne wzbogaciły się nadzwyczaj pożytecznem i pożądanem dziełem, jakiego dokonał i jakie wydał własnym nakładem b. redaktor i właściciel »Dziennika Bydgoskiego« p. Stanisław Tomaszewski. Opracował on mianowicie dla upamiętnienia chwili uchwalenia przez Sejm pruski brutalnego prawa o wywłaszczeniu, »Mapę Polski« z czasów panowania króla Jana Sobieskiego. Mapa, ta ozdobiona u góry obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wydana jest starannie i okazale, zawiera bowiem także jeden z najcenniejszych historycznych obrazów polskich, »Hołd pruski« Matejki. Dokoła całej mapy znajdują się umieszczone w barwnych odbitkach herby wszystkich województw i domów królewskich, które w Polsce panowały, a ponadto podano na niej fotograficzne portrety wszystkich posłów polskich z parlamentu austryackiego i niemieckiego, z Sejmu pruskiego i Dumy rosyjskiej. Zaletę tej mapy stanowi i to, iż nazwy miejscowości w księstwie Poznańskiem podano we właściwem, polskiem brzmienin.

Przystępna cena tej mapy wielkości metra kwadratowego, pozwala nawet niezamożnym nabycie tak pięknego i cennego wydawnictwa.

Jadwiga Jarszewska.

Ostatnią premierą, wystawioną przez Teatr Mały w Warszawie, był trzyaktowy dramat „kawalerski“ Tovotégo p. t. „Piekielnica“. Rzecz dość interesująca, choć w niektórych ustępach melodramatyczna, podobała się i wywarła ogromne wrażenie.

Bohaterka dramatu jest prawdziwą „piekielnicą“. Młoda, ładna, pełna temperamentu, psychicznie jednak wykolejona, bo histeryczka, wytwarza wokoło siebie atmosferę piekła, męczy siebie i otoczenie najrozmaitszemi udręczeniami. Ofiarą jej histerycznych szałów pada przedewszystkiem człowiek, który jej życie uratował i którego ona następnie ukochała w dziwny swój sposób. I miłością swą i swem postępowaniem zatruła mu jednak życie. W końcu histerya doprowadza ją do zbrodni, do zabójstwa ukochanego.

Do powodzenia sztuki przyczyniła się w znacznej mierze doskonała gra p. Jarszewskiej, przedstawicielki tytułowej roli. Występem tym sprawiła młoda artystka publiczności warszawskiej miłą niespodziankę. Dotychczas bowiem widywano ją przeważnie w małych rolach. „Piekielnica“ była pierwszą dużą, odpowiedzialną rolą. Dała też artystce sposobność wykazania pierwszorzędnych zalet talentu istotnie głębokiego. Szczery, pociągający i ujmujący liryzm, szlachetność w traktowaniu postaci, akcenty prawdziwie dramatyczne, a obok tego doskonała wymowa, głos wdzięczny i podatny, a wreszcie powierzchowność nadzwyczaj sympatyczna, wszystko to tworzy całość wielce obiecującą — i rokuje p. Jarszewskiej piękną karyerę.



Jadwiga Jarszewska.

Partnerem p. Jarszewskiej — jak zawsze doskonałym — był p. Adwentowicz, którego występy w Warszawie cieszyły się stale dużem powodzeniem.

Gaszenie pożaru ropy.

Jak wiadomo i jak już zresztą na innem miejscu donosimy, pożar ropy na terytoryum Borysławia i Tustanowic trwa dalej, a rozmaite sposoby gaszenia, jak dotąd, bardzo małe osiągnęły rezultaty.

Wiele bardzo obiecywano sobie po owym żelaznym dzwonie, którym zakrywa się palący szyb, ale i ten środek nie okazał się bardzo praktycznym.

Obecnie wybudowano w odległości stu kroków od groźnego słupa ognia wysoką na dwa piętra ścianę asbestową, za którą stoi właściwe rusztowanie z belek dębowych, oparte na kołach, celem łatwiejszego przesuwania z miejsca na miejsce. Na wierzchu rusztowania umieszczono hak na poprzecznej ruchomej belce, na którym zwisa żelazny dzwon do przykrycia ziejącego ogniem otworu kopalni.

Dzwon ten sporządzony jest ze specyalnego metalu, a zaopatrzony także w rury, służące do odprowadzania gazów, wydobywajacych się z kopalni.

Skoro dzwon opuści się na otwór, wyrzucający rozpaloną ropę, grupy robotników zaczynają rzucać przygotowaną ziemię, aby w ten sposób zagasić ogień.

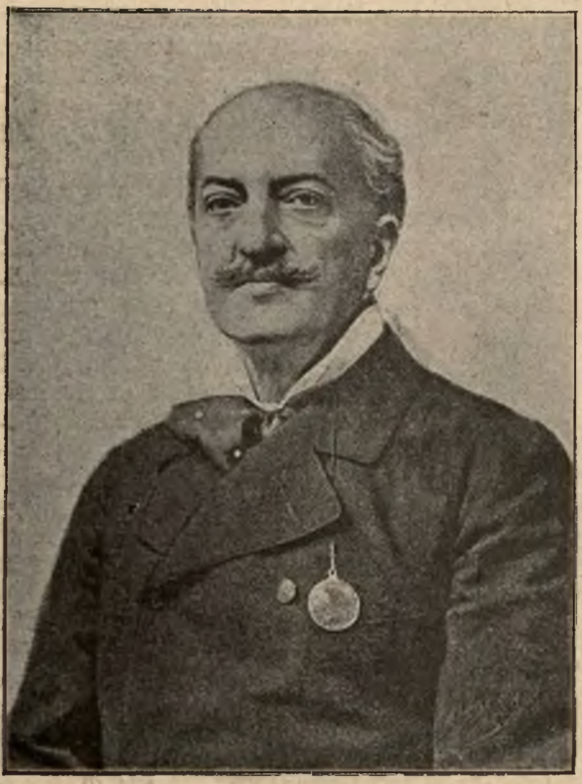


Gaszenie pożaru ropy: Ściana asbestowa, użyta do stłumienia ognia w szybie »Oil City« w Borysławiu. Fot. W. Russ, Drohobycz.

Illustracya nasza przedstawia ścianę asbestową, z umieszczonem po za nią rusztowaniem na kołach, zapomocą którego metalowym dzwonem starają się przykryć otwór palącego się szybu.

Samobójstwo węgierskiego polityka.

Wielkie zainteresowanie w całych Węgrzech, a po części i we Wiedniu budzi zamach samobójczy, znanego powszechnie w kołach arystokracyi budapeszteńskiej, byłego długoletniego sekretarza



Samobójstwo węgierskiego polityka: Baron Dezydery Gromon.

stanu w ministerstwie honwedów i obecnego wiceprezydenta budapeszteńskiej rady budownictwa, barona Gromona.

Baron Gromon, człowiek około 70-letni, zajmował w Budapeszcie w śródmieściu kawalerskie mieszkanie, złożone z sześciu pokoi, w którem prócz niego znajdował się także kamerdyner i jego żona.

W przeddzień krytycznego dnia powrócił Gromon około 11 wieczór z kasyna Narodowego, a następnego dnia wstał jak zwykle o godzinie 5 rano. Po śniadaniu napisał kilka listów, a następnie zawołał służącego, który miał odnieść jego bagaże na dworzec wschodni, gdyż Gromon wyjeżdżał na polowanie do południowych Węgier. O kwadrans na dziewiątą zadzwonił na swojego kamerdynera, a w chwili gdy tenże zbliżał się do drzwi gabinetu, rozległ się huk wystrzału. Przerażony wpadł do pokoju i tu zastał swego pana, siedzącego na fotelu przed lustrem, z rewolwerem w ręku; z lewej strony piersi sączyła się krew.

Chociaż rana była śmiertelną, jednak usiłowania lekarzy, aby utrzymać Gromona przy życiu, uwieńczył pomyślny skutek — zachodzi tylko możliwość komplikacyi ze strony płuc lub obawa zakażenia krwi, co wobec podeszłego wieku chorego byłoby bardzo niebezpiecznem.

Na stole samobójcy znaleziono kilka listów, między nimi list do kardynała Klaudyusza, prymasa Węgier, w którym go przeprasza, iż w samobójczy sposób pozbawia się życia, prosi o odpuszczenie grzechów i pogrzeb katolicki. Nadto znaleziono na biurku projekt karty pogrzebowej, ułożony przez samego Gromona.

Powodem samobójstwa były prawdopodobnie kłopoty finansowe. W młodości posiadał on wielki majątek, który jednak stracił przez hulaszcze życie, tak że później nic mu prócz pensyi nie pozostało — mimo to prowadził jednak życie bardzo wystawne i skutkiem tego wpadł w długi, wierzyciele ciągle go prześladowali egzekucyami — a w ostatnich czasach nawet wszystkie meble w mieszkaniu miał zajęte na rzecz wierzycieli.

W ciągu dnia wiele wybitnych osób dowiadywało się o stan zdrowia bar. Gromona, między niemi i hr. Aladar Zichy, minister węgierski przy dworze wiedeńskim, który też zawiadomił zaraz cesarza telegraficznie o zaszłym wypadku. Hr. Zichy wyraził zdziwienie z powodu samobójstwa, gdyż — jak sądzi — rodzina bar. Gromona byłaby pokryła jego zobowiązania, gdyby tylko była o nich wiedziała.

Obok podajemy portret arystokratycznego samobójcy.

Święto weteranów.

Korpus weteranów wojskowych we Lwowie, istniejący od długiego szeregu lat jako instytucya nietylko towarzyska ale i humanitarna, obchodził w ubiegłym tygodniu uroczyście rocznicę swego założenia.

Uroczystość rozpoczęła się mszą polową, której wysłuchali wszyscy członkowie lwowskiego korpusu w paradnych strojach, ze sztandarem i orkiestrą swoją na czele, przybyli też oficerowie wszystkich pułków oraz sporo publiczności.

Uroczystość wypadła bardzo pięknie i pozostawiła wśród uczestników miłe wrażenie Z okazyi tej zamieszczamy dziś zdjęcie fotograficzne, przedstawiające część korpusu weteranów w czasie mszy polowej.



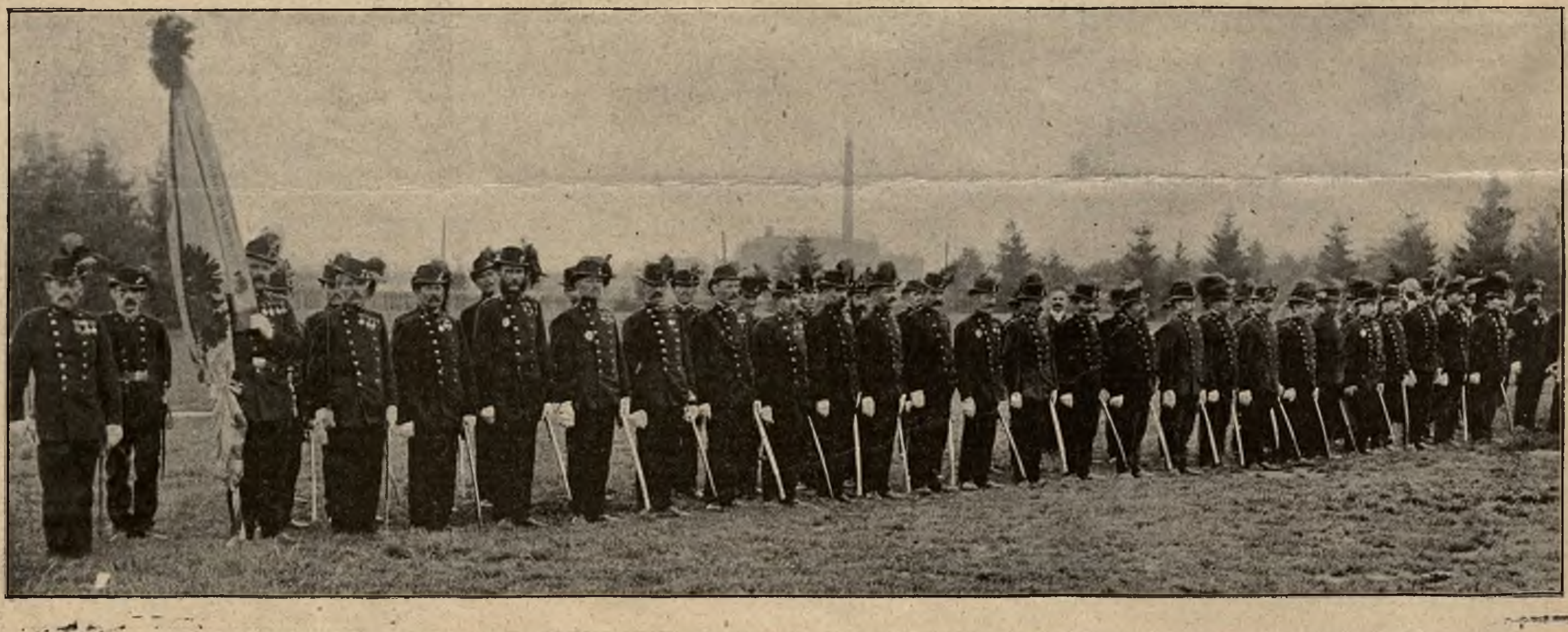
Wypadki w Macedonii: Aresztowanie rewolucyonistów macedońskich.

Wypadki w Macedonii.

Sułtan turecki nadaniem konstytucyi swym poddanym, sprawił wielki zawód dyplomatom europejskim, którzy podległą berłu tureckiemu Macedonię uważali za teren do czynienia prób z najrozmaitszemi rodzajami reform.

Ostatniemi czasy podano mocarstwom europejskim do rozpatrzenia projekt angielsko-rosyjski, według którego miano wprowadzić do Macedonii lotne oddziały wojsk europejskich. Zadaniem ich miało być zwalczanie rywalizujących z sobą band bułgarskich, serbskich i greckich, które grasując w niej przez lat kilka, cały ten kraj spustoszyły i zniszczyły doszczętnie.

Rząd turecki nietylko dotychczas nic nie czy-



Święto weteranów: Korpus weteranów wojskowych we Lwowie w czasie mszy polowej.

nił w celu zaprowadzenia porządku w tej prowincyi, lecz nawet otwarcie łączył się z rozbójnikami, ludności zaś w celu uniemożliwienia zorganizowania obrony nakazał odbieranie broni. Pojmanych z orężem w ręku, karał w bezlitosny sposób, kon-



Wypadki w Macedonii: Wykonanie wyroku śmierci na jednym z powstańców.

fiskując im cały majątek. Weszło już w zwyczaj w Turcyi, iż posyłano do Macedonii zasłużonych urzędników, by tam wzbogacili się, jak również i oddziały wojsk, którym od dłuższego czasu nie wypłacano żołdu.

Taki beznadziejny stan trwałby i dalej mimo wszystkie reformy europejskie, gdyby wzbudzony w Turcyi ruch młodoturecki nie objął i Macedonii. Z konstytucyi nadanej całemu państwu ottomańskiemu korzystać będą i Macedończycy, którzy przy nowym porządku rzeczy oswobodzą się wreszcie od postojów wojsk tureckich i europejskich i unikną coraz to nowych reform, działających dotychczas ujemnie na cały porządek rzeczy w kraju.

Mimo zawodu, jakiego obecnie dyplomaci doznali od sułtana, nie tracą oni nadziei, że do nich będzie należało ostatnie słowo o losach nieszczęśliwego kraju. Wschodnie konstytucye bywają bardzo nietrwałe i zmienne i w krótkim czasie mogą zamienić się znowu w poprzednią samowolę urzędniczą, a wtedy do głosu przyjdą znowu dyplomaci i układać będą nowe projekty reform.

Skazanie zdrajcy.

Przypomną sobie Czytelnicy poruszoną przez nas z początkiem roku bieżącego sprawę Andrzeja Radowicza, byłego prezydenta ministrów Czarnogóry.

Radowicz, oskarżony o współudział w spisku, skierowanym przeciw księciu Mikołajowi, zbiegł za granicę, mianowicie do Tryestu. Czarnogóra zażądała, w myśl układów międzypaństwowych o ekstradycyi oskarżonych o zamach na panującego, wydania Radowicza, co byłoby się niechybnie stało, gdyby nie interpelacye w parlamencie austryackim, na skutek których uwolniono Radowicza; ten wówczas oświadczył, że nie brał najmniejszego udziału w sprzysiężeniu, o ile ono wogóle istniało.

W tem przekonaniu, że i w Czarnogórze niewinność jego zostanie uznaną, powrócił dobrowolnie do Czarnogóry i stawił się przed sądem. Jednak pomylił się, gdyż sędziowie jego, członkowie dworskiej kamaryli, nawet nie prawnicy, wydali nań wyrok potępiający, na mocy którego skazany został za szerzenie idei przewrotowych na piętnaście lat ciężkiego więzienia, obostrzonego noszeniem kajdan.

Radowicz, czterdziestoletni mężczyzna, spokrewniony jest nawet z księciem Mikołajem, za żonę pojął bowiem kuzynkę księcia. Dodać należy, że Radowicz cieszył się w kraju ogromną popularnością, gdyż wiele zdziałał dla podniesienia dobrobytu mieszkańców, dla rządu był jednak solą w oku, gdyż należał do opozycyi.

W bieżącym numerze podajemy portret niedawno zasądzonego Radowicza.



Skazanie zdrajcy: Andrzej Radowicz.

Czesław Muszyński.

Przed dwoma laty, w czasie pobytu w Krakowie opery lwowskiego teatru, wystąpił tu kilkakrotnie młody artysta-śpiewak, Czesław Muszyński. Zwrócił on na siebie uwagę zarówno muzykalnej publiczności jak krytyki, głos jego bowiem tenorowy, potężny, dźwięczny, o bohaterskim, dramatycznym akcencie, rokował jak najpiękniejszą przyszłość. Potrzeba mu było tylko pogłębienia studyów, rozpoczętych u słynnego profesora śpiewu America w Berlinie.

P. Muszyński już poprzednio śpiewał na scenach niemieckich i cieszył się tam znacznem powodzeniem. Także w Krakowie, a następnie we Lwowie podobał się ogólnie, zwłaszcza że pracował tam gorliwie pod kierunkiem pp. Souvestrów nad wydoskonaleniem techniki śpiewaczej i czynił widoczne, coraz większe postępy. Jego Radames w przepięknej „Aidzie“ stanowił najlepszy dowód rozwijającego się talentu.

W ubiegłym roku śpiewał p. Muszyński na scenie czerniowieckiej, a obecnie bawi w Krakowie i tu wystąpi gościnnie w bieżącym tygodniu w tytułowej partyi prześlicznej opery Verdie'go „Trubadur“. Partya to bardzo piękna, ale i niezwykle trudna, wymagająca głosu wielkiego i wytrzymałego. Połączyć w niej trzeba siłę dramatyczną z akcentami lirycznymi, w jaki partya obfituje.

Na podstawie wiadomości i informacyi „z za kulis“ — można zapewnić, że p. Muszyński trudność partyi „Trubadura“ zwycięsko pokona, że więc przedstawienie to zaliczyć będzie można do najudatniejszych w sezonie.



Czesław Muszyński.

Rozwiązanie zagadek z Nru 29

Szarada.
Rabka.

Logogryf.
Stanisławski Jan, Zima.

Zagadka.
Gospodyni wesoła, gdy goście dokoła.

Zagadka.
Artur Grottger.

Zagadka z literatury polskiej.
Mickiewicz, Kajsiewicz
Krasiński, Towiański.

Szarada.
Panorama.

Zagadki przysłowiowe.
1. Skąpy dwa razy traci.
2. Każdy dudek ma swój czubek.
3. Fortuna kołem się toczy.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Z. Gruszczyńska Kraków, J. Witkowska Lwów, A. Bronierski Kraków, R. Jaworski Kraków, S. Kubacki Piotrków, K. Fuchs Czeremchów, J. Wielgus Kalwarya, A. Bocsoń Bóbrka, A. Rojek Lwów, W. Muszyński Lwów. E. Katarzyńska Kraków. J. Nowicki Włocławek, S. Kowalski Kalisz, A. Biliński Tarnopol, J. Pieniążek Lwów, T. Kopystyński Lwów, K. Grzesicki Petersburg, W. Szymański Ostrów, O. Górsowa Chyrów, J. Grotkowski Kraków, J. Diehl Stryj M. Ostrożyńska Stryj, K. Czepielowska Sandomierz, R. Eugelberg Tarnobrzeg, K. Safier Tarnopol, W. Gerbard, Rzeszów, J. Antosz Kraków, C. Sitarz Nowa wieś, Z. Włodzimirski Suczawa, E. Rittigstein Czerniowce, A. Woyde Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. Antosz Kraków. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

5 Ciąg dalszy.

— Rzeczywiście stąd, lecz nie wiem, czy to do pana telefonowano...

— Przepraszam bardzo, lecz z kim rozmawiam?

— Kawiarnia Paul na placu Trocadero.

— Dziękuję bardzo. Może pan będzie łaskaw poprosić jeszcze tę osobę, która poprzednio telefonowała.

— To niemożliwe, osoba ta już wyszła przed chwilą.

— Mój panie, niech pan pośle chłopca zaraz, by zawołał, zapłacę za to... proszę bardzo.

— Ten pan musi już być daleko, a zresztą zamykamy obecnie lokal.

— Czy może mi pan w takim razie powiedzieć, jak wygląda tamten pan? Czy pan go zna?... Czy to wasz stały gość?...

— Nie proszę pana, po raz pierwszy go widziałem. Jestto mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, brunet, z małymi wąsami. Zdaje mi się, że był w wizytowem ubraniu, lecz nie jestem tego pewny.

— Dziękuję.

— Niema za co. Dobranoc.

— Dobranoc.

Sekretarz przez chwilę pozostał jeszcze przy telefonie, nie wiedząc, co czynić. Czy drukować tę wiadomość, czy też czekać z nią do następnego numeru? Jeżeli jest ona prawdziwą, byłoby do niedarowania dać ubiedz się konkurentowi. Lecz jeżeli to mistyfikacya?... Trzeba dobrze się zastanowić.

Po namyśle wykreślił ze skryptu kilka wierszy, traktujących o sesyi kortezów w Lizbonie, a zastąpił je następującymi:

„Straszna tragedya.

Dowiadujemy się w tej chwili, iż pod numerem 29 przy bulwarze Lannes, w domu zamieszkałym przez pewnego starca, dokonano morderstwa. Ofiarę znaleziono z podciętem w okropny sposób gardłem. Jeden z naszych współpracowników udał się na miejsce.

Z powodu niestwierdzenia jeszcze tej wiadomości, podajemy ją z zastrzeżeniami".

W kilka chwil potem maszyny rotacyjne wyrzucały z siebie całe masy zadrukowanego papieru. O trzeciej rano trzysta tysięcy egzemplarzy z wiadomością o zbrodni na bulwarze Lannes wywożono na dworce kolejowe celem wysyłania na prowincyę. O trzy kwadranse na piątą połowa paryskiego nakładu była już gotową.

Wtedy sekretarz, który nie opuścił jeszcze redakcyi, spoglądając na zegarek, zawołał chłopca redakcyjnego:

— Idź zaraz do pana Onesime'a Coche'a na ulicę Douai i poproś go, by przyszedł jak najprędzej w bardzo ważnej sprawie.

Gdyby ten Coche był rozsądniejszy, myślał sekretarz, wcześniej uwiadomiłbym go o tej sprawie. Lecz jakże można mu ufać, gdy on w najlepszej wierze roztrąbiłby tę wiadomość po całym Paryżu i zaraz skorzystaliby z niej nasi konkurenci. A on jakby umyślnie nie przyszedł właśnie tej nocy. Gdy go potrzeba — nigdy go niema.

Zadowolony z siebie, że może posłać Coche'a po szczegóły tej zbrodni, a on mimo swej lekkomyślności nie zdąży już jej rozgłosić, zapalił fajkę i pocierając rękami, rzekł jeszcze do siebie:

— A jednak mój przyjacielu, jesteś znakomitym sekretarzem redakcyi.

* * *

...Onesime Coche dopiero co zasnął, gdy chłopiec z redakcyi zadzwonił do jego drzwi. Obudzony nagle, przysłuchiwał się przez chwilę, nie będąc pewny, czy to nie sen, wreszcie przy drugiem uderzeniu dzwonka podniósł się na łóżku i zawołał:

— Kto tam?

— Julian z redakcyi!

— Zaraz otworzę.

Zapalił świecę, okrył się szlafrokiem i zły, że go zbudzono, otworzył drzwi.

— Co się stało, poco przychodzisz?

— Pan sekretarz Avyot prosi, żeby pan zaraz przyszedł.

— Co? cóż to za kpiny? Przecież to piąta godzina rano.

— Przepraszam, lecz jest już po piątej dwadzieścia minut.

— W każdym razie o tej porze nikogo się nie budzi. Powiedz panu Avyot, żeś mnie nie zastał... Dobranoc Julianie. I chciał już go wypuścić.

— Dobrze, ja powiem. Zdaje mi się jednak, że to bardzo ważna sprawa, chodzi o...

— O co chodzi?

Julian wyjął z kieszeni jeszcze wilgotny dziennik, odkrył na trzeciej stronie i wskazał palcem na końcowe wiersze „ostatnich wiadomości". Gdy Onesime Coche czytał dany ustęp, chłopiec dodał jeszcze:

— Wiadomość tę zatelefonowano, gdy numer szedł na maszynę. Jeżeli to nie blaga, to tamten zarobił za tę wiadomość dwadzieścia pięć franków...

— Dwadzieścia pięć franków?

— Z pewnością. Przecież on nie telefonował tylko do nas. Dał znać do wszystkich redakcyi i każda mu zapłaci.

— Masz racyę! W ten sposób to zarobił i więcej. Powiedz panu Avyot, że zaraz przyjdę, tylko ubiorę się.

Gdy chłopiec wyszedł, Coche roześmiał się wesoło. Bo czyż nie śmieszne to, że do niego właśnie przyszli z tą nowiną? W pierwszej chwili była ona i dla niego niespodzianką. W tych dwóch godzinach snu zapomniał o wszystkich wrażeniach nocy. Zdziwił się, po co go wołają i dopiero przypomniał sobie wszystko, widząc dziennik. Rzeczy więc układały się dla niego jak najlepiej. Obawiał się, by nie powierzono komu innemu zbadania tej sprawy, a to mogło pokrzyżować mu trochę szyki, teraz jednak ma zupełną swobodę działania i może nadal odgrywać swą rolę. Ubrał się pospiesznie i w kilka minut potem był już na ulicy, jadąc napotkaną dorożką do redakcyi.

Po drodze zastanawiał się, co teraz winien czynić. Zajeżdżając przed redakcyę, doszedł właśnie do tego wniosku, iż musi okazywać najzupełniejszą nieświadomość całej sprawy. W ten sposób uchroni się do czasu od wszelkiego podejrzenia, a zarazem da możność sekretarzowi redakcyi pochlubienia się tą nowiną. Znał on ludzi, a zwłaszcza dziennikarzy, wiedział też dobrze, iż by dojść do swego celu, trzeba i innym ustąpić część swych zysków, choćby, jak w tym wypadku, tylko moralnych.

Dorożka zatrzymała się. Zapłacił za kurs i szybkim krokiem wszedł do redakcyi. Sekretarz oczekiwał go już, chodząc wielkimi krokami wzdłuż po pokoju. Gdy go ujrzał, zawołał:

— No! wreszcie pan jesteś! Szukamy pana od pierwszej godziny. Gdzie pan spędza swe noce — to nas zresztą nic nie obchodzi — otwarcie jednak mówiąc, mógłby pan zajrzeć czasami do redakcyi. Nigdy nie wiadomo, gdzie pana szukać...

— U mnie w domu — odpowiedział Coche najspokojniej. Na obiedzie byłem u znajomych, a o godzinie pierwszej spoczywałem już w łóżku. Z redakcyi wyszedłem o pół do ósmej i wszystko zostawiłem w porządku, załatwione. Cóż się więc stało tak gwałtownego?

— Zaraz opowiem: około godziny drugiej poinformowano mnie, iż na bulwarze Lannes dokonano morderstwa.

— Doskonale, wsiadam do samochodu i pędzę całą siłą benzyny do komisaryatu.

— Zaraz, zaraz — powstrzymał go sekretarz, kładąc mu rękę na ramieniu. Poczekaj pan. Wszystko to dobrze, tylko tam nie będą mogli udzielić panu żadnych informacyj, dla tej jedynej przyczyny, iż sami jeszcze nic nie wiedzą.

— Nie zrozumiałem dobrze — odpowiedział Coche. Policya nic nie wie o zbrodni, a pan posiada już wiadomości? Jakto? jakim sposobem?

— Niech pan czyta — powiedział Avyot, podając mu dziennik.

Coche poraz drugi przeczytał swoją notatkę, udając wielkie zainteresowanie.

— O, do dyabła! — odezwał się, gdy skończył czytać. Wydaje mi się to podejrzanem. Czy tylko nie jest to jaka mistyfikacya?

— Gdybym był zupełnie pewny, nie dodawałbym uwagi „z zastrzeżeniami", a jednak — ciągnął dalej z tajemniczą miną — mam pewne dane, dla których najzupełniej w to wierzę.

— Czy nie będzie to niedyskrecyą, jeżeli zapytam, jakie właściwe dane?

— Niedyskrecyą?... Nie... Lecz co najmniej jest to zbytecznem... Zresztą całe zadanie nasze w tej sprawie przedstawia się bardzo prosto: naprzód należy sprawdzić sam fakt, potem zaś okoliczność, iż z wiadomością tą wyprzedziliśmy inne redakcye o całą dobę, wykorzystać w ten sposób, aby poszukiwania przeprowadzić niezależnie od policyi. Zdaje mi się, że informator mój nie zadowoli się samą uprzejmością, okazaną redakcyi naszej, lecz że go wkrótce ujrzę tutaj, choćby po należne mu honoraryum.

— Tak pan sądzi? — zapytał Coche.

— Owszem, tak — potwierdził sekretarz.

— Zobaczymy — zamruczał Coche.

— Mój kolego, chyba przyznacie mi pewne doświadczenie w sprawach, któremi zajmuję się już od lat dwudziestu.

— Jakiś ty naiwny — myślał Coche — gdybyś wiedział, kto jest twym informatorem, tobyś dopiero zadziwił się, tylko już bez tej pewności siebie, jaką teraz okazujesz. Nie bój się, nie przyjdzie on po pieniądze. Jego ambicyi nie zadowolisz złotem, a chytrością swoją przewyższa on twe doświadczenie. I głośno już dodał:

— Rzeczywiście... sprawa ta dość dziwnie przedstawia się, od czego tylko zacząć poszukiwania?

— To już pańska rzecz. Naprzód sprawdź pan sam fakt, a potem zbierz takie informacye, byś na wieczór przyniósł nam czterysta wierszy z fotografiami. Jeżeli spisze się pan dobrze, postaram się, aby redaktor podniósł panu gażę o pięćdziesiąt franków miesięcznie.

— Bardzo dziękuję panu sekretarzowi — odpowiedział Coche, w duszy jednak dodał — jeżeli dobrze się sprawię, nie będzie mi wtedy zależało na pięćdziesięciu frankach. Inaczej tę sprawę będziemy traktowali.

* * *

Na ciemne niebo jutrzenka rzucała jasne promienie. Świtało. Dzień wyrywający się z objęć czarnej nocy, wdzierał się przez okna do redakcyi i walczył ze światłem lamp. W drukarni ustał już turkot maszyn, nastąpiła cisza, przerywana jednak zwolna niewyraźnymi odgłosami ulicy, budzącej się z nocnego spoczynku do życia.

Onesime Coche wstał, schował numer do kieszeni i zapytał:

— Więc to się stało na bulwarze Lannes, który numer?

— Dwadzieścia dziewięć. Tylko jak widzę, pana zaprzątają teraz jakieś inne myśli.

— O! — zaprzeczył Coche — może pan być najspokojniejszym. Dochodzi dopiero siódma godzina, wszystko jeszcze załatwię. Już wyruszam w drogę.

— A ja kładę się spać. Zasłużyłem na kilka godzin snu, gdy pan chrapał w najlepsze, ja dobrze pracowałem!

Coche nic już nie odpowiedział na tę uwagę, lecz pożegnawszy się, wyszedł. Wsiadł do dorożki, stojącej przed domem, i podając adres avenue Henri Martin róg bulwaru Lannes, udał się na miejsce zbrodni.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Uparty fabrykant monet.

W kilku ostatnich latach zarząd państwowy zmieniał kilkakrotnie obiegową monetę, tak papierową jak kruszcową, wykonując ją w sposób u-



Uparty fabrykant monet: Teofil Brykczyński.

trudniający naśladownictwo. Mimo to pojawiały się zawsze falsyfikaty — mniej lub więcej udatne, zwłaszcza pięciokoronówek, które najlepiej z powodu swych rozmiarów i wykończenia nadawały się do podrobienia.

W ostatnich miesiącach pojawiły się falsyfikaty w większej ilości, policya przeto rozpoczęła dochodzenia, celem wykrycia fałszerzy. Egzemplarze falsyfikatów wykazywały na pierwszy już rzut oka uderzające podobieństwo i wspólne pochodzenie, co też dalsze śledztwo potwierdziło.

Okazało się też, że siedziba „prywatnej mennicy“ mieści się w Podgórzu pod Krakowem, zanim jednak władze mogły wytropić winowajcę, zdołał on ulotnić się w nieznanym kierunku. Pościg zarządzony za nim nie pozostał atoli bez dodatnich rezultatów, bo przed kilku dniami przychwytano w Kochawinie pod Żydaczowem fabrykanta owych monet.

Poznano w nim dawnego znajomego policyi, Teofila Brykczyńskiego, piekarza czy też ślusarza, lat 34, pochodzącego z Królestwa.

Człowiek ten nałogowo trudnił się podrabianiem austryackich monet, a ukarany w roku 1905 za tę zbrodnię trzechletniem więzieniem i wydalony z Austryi, w tydzień po odstawieniu do granicy powrócił do Lwowa, skąd w towarzystwie kilku kolegów fachowych, z którymi poznał się w tamtejszem więzieniu, wybrał się do Podgórza. Tu najął przy ulicy Mickiewicza zaciszny pokoik w oficynie, gdzie zamierzał zainstalować swoją mennicę.

Niestety — policya fabrykę rozbiła — mimo, iż szef Brykczyński przybrał sobie pseudonim „Edward Mielewski, drukarz“.

Wytropienie sprytnego a upartego fałszerza jest w głównej linii zasługą niezmordowanego w ściganiu przestępców kierownika ekspozytury policyi w Podgórzu, nadkomisarza Krzyżanowskiego.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Zygmunt Gaudnik.

Pierwsza i druga zawsze imponuje,
Gdy się na sali balowej znajduje,
Zwłaszcza się wtedy podobać zaczyna,
Gdy dziarsko tancerz hołupce wycina;
Druga z kropeczką, barszczyk bardzo zdrowy
Wedle recepty Ćwierciakiewiczowej;
Trzecia odwrotnie, dopływ rzeki Kamy.
Gdy te wyrazy już w pamięci mamy,
Łatwo w Wielkanoc poszukać całości —
Będzie na stole w wielkiej obfitości
I gdy gościnna gosposia pozwoli,
Lubiąc słodycze użyjesz do woli.

Zagadka.

Poniżej podane wyrazy tak poprzestawiać, by litery pierwsze i trzecie dały nazwiska i utwór polskiego autora: Watykan, Rzadki, Czarne, senior, eskimos.

Logogryf.

Ułożył Czwartek i Piątek z nad Stryja.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić wyrazy, litery wstawione w miejsce krzyżyków dadzą nam nazwę obchodzonego na Litwie obrzędu ludowego.



Znaczenie wyrazów: 1. Kraj nad Adryatykiem. 2. Przyrząd służący do mierzenia czasu. 3. Część stroju biskupiego. 4. Jasienny kwiat ogrodowy. 5. Naczelnik rządu w Wenecyi. 6. Samogłoska.

Za trafne rozwiązanie wszystkich powyższych szarad i logogryfów przeznaczamy Kosiakiewicza: »Z powrotem. Pamiętnik współczesnego człowieka«.





STANISŁAW STACHOWSKI · Magazyn mebli i Zakład tapicersko-dekoracyjny

Kraków, ul. Sławkowska 6 — Telefon Nr. 730

Poleca swój obficie zaopatrzony magazyn w meble, dywany i dekoracye. Podejmuje się **kompletnych urządzeń** domów prywatnych, jakoteż pensyonatów i innych instytucyj po cenach nader umiarkowanych.

vis à vis hotelu Saskiego — Telefon Nr. 730

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki **WÓZKI** itp. na składzie.

Jedynie prawdziwym jest tylko

Thierry'ego Balsam

z zieloną marką ochronną ZAKONNICY. Najmniejsza wysyłka 12/2 lub 6/1 albo 1 patent. flaszka familijna do podróży **K 5.** Opakowanie darmo. — **Thierry'ego maść centyfoliowa** Najmniejsza wysyłka 2 słoiki **K 3·60,** opakowanie darmo. — Uznane wszędzie jako **najlepsze środki domowe** przeciwko dolegliwościom żołądkowym, zgadze, kurczom, zaflegmieniu, zapaleniu, **Kontuzyi** i t. p. — Zamówienia lub przesyłki pieniężne należy adresować:

A. THIERRY, Apteka pod Aniołem stróżem, Pregrada obok Rohitsch. — Skład we wszystkich aptekach.



Tylko

Gramofony z Aniołkiem

są najlepsze!

o czem kupująca Publiczność przekonaną jest.

SKŁAD FABRYCZNY 29—41

OSKAR BERGNER, LWÓW

Pasaż Hausmana 8.

Ceny oryginalne fabryczne. — Cenniki franco. Spis płyt na żądanie. — Centralna zamiana płyt.

Szadkowski i Kopczyński

Lwów, plac Bernardyński 3.

Magazyn Broni i Pracownia ruśnikarska

Polecamy broń myśliwską śrutowę i kulową — oraz wszelkie przybory łowieckie. Reperacye uskuteczniamy tanio i dokładnie.

Ceny niskie!

Kraków Sławkowska L. 3 — Telefon 516



Kraków Hotel Saski — Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

TUTKI CYGARETOWE

NORIS

z watą chemicznie czystą

oznaczone literą **N** są w powszechnem użyciu.

Zawdzięczam to tej okoliczności, że do ich wyrobu używam najlepszej bibułki, zrobionej z włókien rośliny **Chmiel „le Houblon“.** — Wyrabiam tak **klejone** jak i nieklejone (maszynowe). Nadają się do wszelkich szlachetniejszych tytoni. Smak ich jest łagodny — dym chłodny, nie sprawiają pieczenia w krtani i na języku.

Dla zwolenników Tutek klejonych polecam

„LE HOUBLON-NORIS”

z watą. — Są one wyborne i oznaczone literą **K.** Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną winien palić tylko w **cygarniczkach szklanych** z watą **„SALVESOL“** — pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie.

10 cygarniczek szklanych 1 K 20 h.

Pakiecik waty „Salvesol” 30 lub 60 h.

(2)

Wyroby te poleca: **Zakład przemysłowy wyrobów papierowych „NORIS“**

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków.

Bazar krajowy

w Krakowie, Rynek gł. 20 (róg ulicy Brackiej)

poleca wyroby krajowe po cenach fabrycznych w wielkim wyborze:

Veloury i burki

oryginalne Sławuckie.

Peleryny, plaidy i chustki wełniane do okrycia

1



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru. Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi. 5—52

Proszę żądać przysłania darmo i opłatnie mego wielkiego, bogato illustrowanego

Głównego Katalogu



z 3000 illustracyami wszelkiego rodzaju niklowych, srebrnych i złotych **Zegarków,** jak też wszelkiego rodzaju trwałych towarów złotych i srebrnych, instrumentów muzycznych, towarów stalowych, skórzanych itd. po cenach orygin. fabrycznych: Niklowy zegarek Remontoir K 3 50, Zegarek system Roskopf-Patent K 4·—, Zegarek szwajcarski oryg. system Roskopf-Patent K 5·—, Zegarek niklowy Remontoir registr. „Adler-Roskopf“ K 7·—, Srebrny zegarek Remontoir, mechanizm „Gloria“ K 8 40, Srebrny zegarek Remontoir, z podwójn. kowertami K 12·50, Rosyjski zegarek metalowy „Tula-Cylinder Remontoir“ z mechanizmem „Luna“, podwójn. kowertami K 10 50. Budzik K 2 90, zegar kuchenny K 3·—, zegar „Schwarzwälder“ K 2·50, zegar z kukułką K 8 50, Za każdy zegar 3 letn. pisemna gwarancya! Żadne ryzyko! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Pierwsza fabryka zegarów 25—33

Hanns Konrad, c. k. nadw. dostawca **Brüx, Nr. 1374 (Czechy)**

MOTORY URSUS

jedyne motory do opalania surową ropą o idealnie prostej konstrukcyi — sprzedaje na raty miesięczne, roczne i t. d.

BIURO TECHNICZNE

UNIVERSUM

38, 42, 46, 50

Generalne zastępstwo motorów **URSUS,** **Kraków, Basztowa 19.**



Lawn-Tennis, Piłki nożne, Gry i Zabawki ogrodowe

Hamaki i Leżaki

PRZYBORY RYBOŁOWCZE

PORADNIK RYBOŁOWCZY Prof J. Rozwadowskiego — Wydanie II poprawione — poleca

Magazyn Uniwersalny ROMAN DROBNER w Krakowie, plac Szczepański.